

DON KISZOT



Nakładem M. ARCTA w Warszawie.

4502

3/1250

Zakupiono
od PPK Antykwariat
Łódź

Miejscowość: _____
im. Łubwińskiego ul. _____

Nr 1651 w t. _____
dn. 16 M 1973 r.



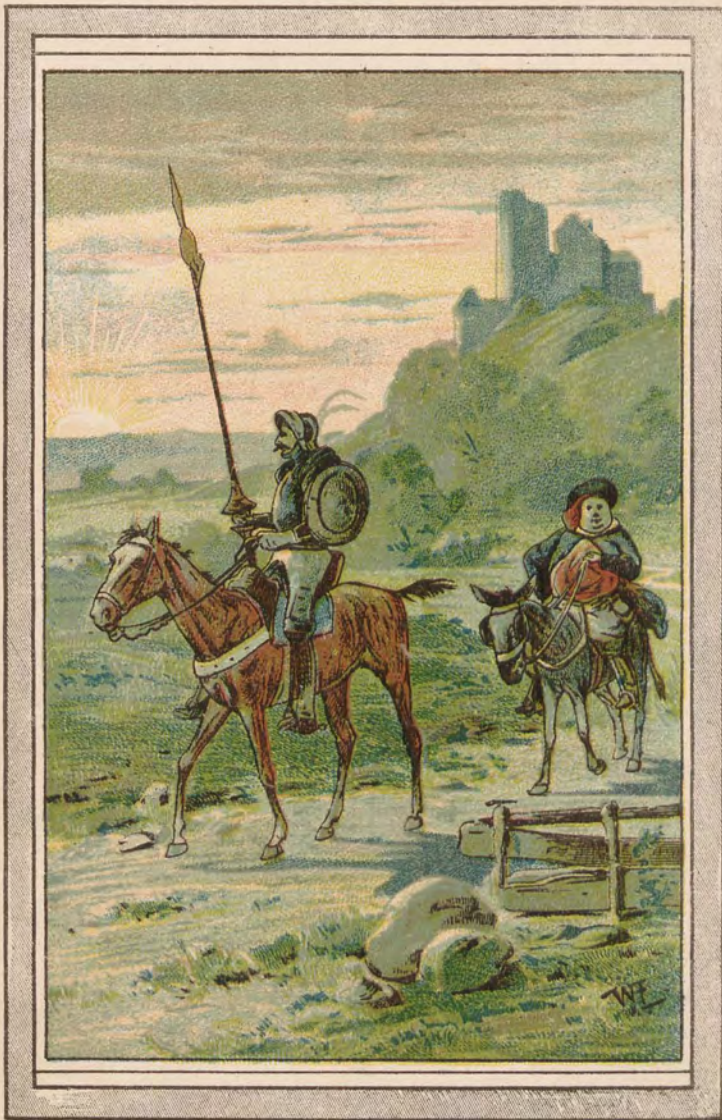
70
Kochanej Helusi
& Sieni i Sieni
od cioci Tuberosy

Prostoceki 18/8 1901.

DON KISZOT Z LA MANCZY



DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.



MICHAŁ SAAVEDRA CERVANTES

DON KISZOT Z LA MANCZY i jego przygody

dla młodzieży streścił

ZBIGNIEW KAMIŃSKI

z 5 obrazkami kolorowymi

WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1900

tabl. 4

Дозволено Цензурою.
Варшава, 22 Апрелья 1900 года.



PRZEDMOWA.

Michał Cerwantes de Saavedra urodził się w r. 1547, umarł w r. 1616. Był walecznym żołnierzem, pięć lat spędził w ciężkiej niewoli u Arabów czyli Maurów; przez rodzinę swoją wykupiony, służył jeszcze wojskowo, potem zajmował się pisaniem i handlem. Żadne z tych zajęć jednakże nie dało mu zamożności. Kilka razy był więziony niesłusznie. Umarł w biedzie i dziś nie wiadomo nawet, gdzie spoczywają prochy wielkiego hiszpańskiego pisarza. Z książek przez niego napisanych, najznakomitszą jest powieść o Don Kiszocie, tlómaczona na wszystkie języki.

Nikt nie umiał tak dosadnie przedstawić na przykładzie ciężkich szkód, zrzadzanych przez czytanie złych książek, jak Cerwantes w swoim Don Kiszocie.

Bohater ten jest z natury człowiekiem dobrym i rozumnym, posiada wiele odwagi, stałości, wytrwałości w cierpieniach i przez te przymioty wzbudza dla siebie współczucie. Niczego jednakże nie mógł w życiu dokazać, gdyż miał umysł zwiehnięty... złemi książkami.

Dążność Don Kiszota była najszlachetniejsza — pragnął pomagać uciśnionym, karać krzywdzi-
cieli. Tylko mylną wybrał drogę: sądził, że doj-
dzie do swego celu przez bijatyki, gotów też był
walczyć z całym światem, przeciwników szukał
tam nawet, gdzie ich nie było, rzucał się na osłep
w niebezpieczeństwa największe i oczywiście wy-
chodził z tych walk często srodze pobity.

Cerwantes wiernie opisał naturę ludzką. I dziś
widujemy mnóstwo Don Kiszotów. Bo jakże po-
dobni do owego rycerza są ludzie, którzy sobie
uroili, że łatwo, bodajby przy pomocy bijatyki,
poprawią porządek w społeczeństwie, albo nawet
religję! Czyliż nie jest prawdziwym potomkiem
Don Kiszota niejeden wynalazca nieszcześliwy,
który bez nauki, bez doświadczenia całe lata tra-
wi nad zbudowaniem jakiejś maszyny, dawno już
znanej, albo też takiej, której zbudować niepo-
dobna.

Bywają o wiele gorsi Don Kiszoci — ludzie,
którzy chcą się z bogacić przez hazard, loterję,
grę, bez pracy, bez oszczędności wytrwałej i ro-
zumnej, mylnie sądząc, że tym sposobem nikogo
nie krzywdzą. Błąd oczywisty, bo gdy sami
na tem cierpią, to i otaczający cierpią również.
Praca rzetelna, zabiegliwość, przyniosłyby społe-
czeństwu pożytek, podczas gdy marnowanie życia
na złudne nadzieje, stratą jest oczywistą. Jeśli
nawet los dopisze takiemu człowiekowi, jednemu
na tysiąc, jeszcze i wtedy przykład jego zrządza
szkodę, gdyż pociąga za sobą innych, którzy na
złą drogę wchodzą i nie dobijają się nigdy po-
myślnego kresu swych zabiegów.

Przeciwieństwem Don Kiszota jest Sancho Pan-
sa, jego służący. Roztropny, często nawet do-
wcipny, oszczędny, przywiązany do swego pana,

myślący o swoim domu i rodzinie pomimo odda-
lenia, troskliwy o swego osła, Sancho Pansa przy-
wiązuje czytelnika do siebie pomimo wielu wad
swoich: żarłocstwa, teńorzostwa, zbytecznej o sie-
bie dbałości.

Sancho jest wieśniakiem hiszpańskim, Hisz-
panja to kraj daleki; Sancho Pansa żył trzysta
lat temu — to piękny kawał czasu.

A iluż takich Pansów spotykamy i dziś!

Podobnie prawdziwemi są oberżyści, pastu-
chy; również wiernie odmalowani przyjaciele
Don Kiszota, którzy go ratowali dopiero wten-
czas, kiedy już skutkiem obłędu był niepowrotnie
zgubiony.

A czy nie widujemy ludzi podobnych do owych
wielkich panów w Cerwantesowej powieści, którzy
igraszkę lekkomyślną robią sobie z ludzi obłą-
dem dotkniętych i stroją z nich żarty nieraz
bardzo bolesne, sądząc, że tłustym ochłapem ze
swego stołu nagrodzą ich dostatecznie?

Ta prawda w opisach sprawiła, że nazwiska ze
słynnej powieści hiszpańskiej stały się przysłowio-
wami. Do dziś nazywamy Don Kiszotem czło-
wieka, usiłującego narzucić światu swoje urojenia
i mrzonki. Wszystkie te wysiłki noszą miano don-
kiszoterji albo donkiszotyzmu. Zazwyczaj w nich
tkwi zadziorność jakaś, podobna do tej, która zna-
mionowała Don Kiszota. Sancho Pansą nazywa-
my sługusa, który wiernie wylizuje talerze swego
pana i pyszni się tem, że usługuje znakomitemu
człowiekowi — jak gdyby każdy znakomity czło-
wiek dobierał sobie także i znakomitą służbę.
Ordynaryjna dziewczka, w której ktoś naprzekór
całemu światu dopatrywał się wielkiej urody, bywa
nazywana Dulcyneą. Nawet chude, nędzne, ja-
snokościste szkapy, chodzące w zaprzęgu albo

pod siodłem, zwiemy Rosynantami, wskazując ich podobieństwo z wierzchowcem Don Kiszota.

Zapomniano dziś już o książkach rycerskich, przeciw którym pisał Cerwantes. Natomiast mnóstwo innych książek szkodliwych zachwascza i zanieczyszcza umysły tak, że wartoby, aby i dziś pisarz jakiś równie skutecznie wyśmiał to nadużywanie słowa drukowanego.

Don Kiszot wierzył w czary, i Cerwantes wyśmiewa go za to najzupełniej słusznie. Teraz, po upływie trzystu lat, wiara w czary zmniejszyła się nieco. Jednakże dotąd zdarzają się wróżbici, wróżki, ludzie stawiają kabały, miewają zabobony, zajmują się gusłami.

Nie jeden czuje niesmak, czytając o tej ogromnej liczbie uderzeń, które tak często spotykały błędnego rycerza. Niesłusznie byłoby czynić z tego zarzut Cerwantesowi. Bijatyki wszelakie, choćby krwawe, gromadzą zawsze mnóstwo gawiedzi, nawet i ukształcona publiczność chętnie płaci, żeby się bawić widowiskami, na których błażni za pieniądze policzkują się wzajemnie.

Trzysta lat temu smakowało to o wiele bardziej i przyczyniło się do pokupu książki Cerwantesa.

Wprawdzie Don Kiszoci terazniejsi rzadziej spotykają się z kijem i kulakami; ale cierpiąc inaczej, nie o wiele zapewne czują się szczęśliwsi. Świat nie pobłaża tym, którzy wypowiadają mu walkę, i pod tym względem utwór Cerwantesa pozostaje do dziś dnia prawdziwym.

I.

DON KISZOT Z MANCZY.

W prowincji Manczy, w Hiszpanji, mieszkał w pewnej wiosce szlachcic Don Kiszot, z czterdziestoletnią swoją gospodynią i dwudziestoletnią siostrzenicą. Szczupłe dochody starczyły mu zaledwie na lichą odzież i nędzną strawę. A tu trzeba jeszcze było żywić szkapinę w stajence i posługacza, który był jednocześnie stróżem domowym, ogródnikiem i stajennym.

Don Kiszot miał już blisko pięćdziesiąt lat i twarz jego wyrażała, że istotnie przeżył pół wieku. Był wysoki, szczupły, zachował jednak dużo siły. Wstając rano i często chodząc na polowanie, nabył wytrzymałości na niewygody. Ale największą jego przyjemnością było czytanie ksiąg o rycerzach, wojakach, o ich nadzwyczajnych czynach i przygodach. Wtedy zatopiony w czytaniu, zapominał o jadle i o śnie, o polowaniu, a nawet o swoich interesach majątkowych. Skut-

kiem tego zaniedbania musiał sprzedać znaczną część swej niewielkiej posiadłości; natomiast jednak kupił sobie zapas nowych książek, tak bardzo dla niego ciekawych i zajmujących.

Aż wreszcie od takiego ciągłego czytania tych książek pomąciło mu się w głowie tak, że myślał wciąż o zapasach i walkach, o czarowaniach i przygodach, o wielkoludach i smokach; w oczach migotały mu szable, włócznie i tarcze. Nareszcie te wyobrażenia tak go opanowały, że postanowił wybrać się w świat jako błędny rycerz czyli błąkający się wojownik konny, ażeby uciśnionym pomagać, nieszczęśliwych bronić, cnotę wynagradzać, najdziwniejszych doznawać przygód, wśród nich znamienitemi czynami nazwisko swoje wsławić i w końcu, w nagrodę waleczności, otrzymać koronę królewską.

Zagrzany temi zamiarami, niezwłocznie zajął się przysposobieniem do podróży. Już widział w duchu owe dzieła bohaterskie, jakie miał wykonać. Dorównywały one najpiękniejszym czynom i zdarzeniom, opisanym w jego książkach, a czyszcząc broń swoją napawał się uwielbieniem, jakie miał sobie zdobyć.

Broń posiadał jeszcze po swoich pradziadach. Leżała ona gdzieś w kącie, rdzą trawiona i grubą warstwą kurzu przykryta. Don

Kiszot odczyścił ją z największą usilnością, o ile to było możliwe. Niestety, brakło części hełmu, skutkiem czego tył głowy był nieosłonięty. Ale dzielny wojak powinien sobie umieć radzić w potrzebie. Don Kiszot dorobił więc brakujący kawałek z tektury. Wyglądało to jako tako. Trzeba tylko było spróbować mocy polatanego szyszaka. Wyjął więc szablę, rąbnął nią parę razy i całotygodniowa robota rozleciała się w strzępy.

Przykrość ta nie odstręczyła Don Kiszota. Dla mocy wydrutował swój szyszak i nie wątpił już, że teraz będzie doskonale uzbrojony. Ale już nie próbował, czy poprawiona robota oparłaby się ciosom jego szabli.

Teraz pomyślał o swojej szkapie. Prawda, że koń miał tylko skórę i kości, a wad więcej, niż włosia w ogonie. Ale Don Kiszot nie oddałby go za najognistszego bojowego rumaka. Cztery dni rozmyślał nad tem, jakąby mu dać nazwę, żeby brzmiała pięknie i szumnie. Wreszcie nazwał go Rosynantem.

Cheąc, żeby jego chwała opromieniła także i kraj, z którego był rodem i żeby zarazem jego nazwisko było dłuższe i dźwięczniejsze, nazwał się Don Kiszotem z Manczy.

Pozostawała jeszcze jedna trudność. Czem byłoby drzewo bez liści, ciało bez duszy? — Czem byłby rycerz bez miłości? Don Kiszot z Manczy musiał znaleźć jakąś piękność, że-

by za nią walczyć, żeby nieprzyjaciele pokonani głosili chwałę swego zwycięzcy u jej stóp i żeby on sam otrzymywał z jej rączek nagrody za swoje nadzwyczajne męstwo.

W sąsiedniej wiosce mieszkała hoża, rumiana dziewczoja, Aldonza Lorenzo, która wpadła w oko Don Kiszotowi. Ją tedy uczynił Don Kiszot królową swego serca, przedmiotem swych dążeń, nagrodą swych bohaterskich czynów. Aldonza Lorenzo nie wiedziała wprawdzie nic a nic o tem swoim szczęściu i zaszczycie; ale cóż to szkodziło! Tylko należało i ją także przechrzczyć wspólnie. Don Kiszot nazwał ją Dulcyneą. A że wieś, w której mieszkała, nazywała się Tobozo, więc Aldonza Lorenzo stała się słynną Dulcyneą z Tobozo. Oczywiście i o tem ona nic nie wiedziała.

II.

DON KISZOT RZUCA SIĘ W ŚWIAT.

Całkiem już gotów do ruszenia w świat wymarzony, Don Kiszot przywdział jednego ranka zbroję, to jest hełm naprawiony, kirys, osłaniający ciało, wziął do jednej ręki włócznię, do drugiej tarczę, wsiadł na Rosynanta i przez tylną furtkę wyjechał z po-

dwórza tak ostrożnie, że nikt w domu tego nie zauważył.

Z wesołą myślą i pełen najlepszych nadziei, przekroczył granicę swego folwarczku. Wtem zaraz na granicy napadł nań wielki niepokój. Przypomniało mu się, że gdyby jakiego rycerza spotkał, to nie mógłby z nim walczyć, bo tylko rycerz ma prawo potykać się z rycerzem, a jemu dotąd nikt nie udzielił rycerskiego tytułu, czyli nikt nie pasował go na rycerza. Już zachwiał się w swoich postanowieniach i gotów był zawrócić Rosynanta do domu; ale znowu przyszły mu na myśl opisy, wyczytane w książkach.

— Czemużby pierwszy lepszy, którego spotkam, nie miał mnie pasować na rycerza? Tarczę mam jeszcze *białą*, to jest bez żadnego znaku; ale po pierwszym bohaterskim czynie przyozdobię ją napisem odpowiednim.

Pokrzepiony temi uwagami, jechał dalej, popuściwszy Rosynantowi cugli, żeby drogę wybierał, rozumiejąc, że koń najpewniej doniesie go sam do upragnionego celu, na wielkie przygody.

Był piękny dzień letni. Słońce paliło tak mocno, że Don Kiszotowi ledwo się mózg nie roztopił pod hełmem. Głód i pragnienie dręczyły jeźdźca i konia. Wszystko to jednak nie wstrzymywało ich w drodze.

Dopiero ku wieczorowi Rosynant stanął przed wrotami jakiejś oberży. Przed oberżą dwie dziewczyny rozmawiały i śmiały się wesoło.

Don Kiszot, mając głowę nabitą powieściami, uroił sobie, że chałupa, w której się zajazd mieścił, jest warownym zamkiem i był pewien, że lada chwila na murach zamku stanie karzełek, zadmie w trąbę i obwieści przyjazd nieznanego rycerza. Podjechał więc bliżej i zatrzymał Rosynanta przed mniemanym zamkiem. Gdy przecież trąbienia słychać jakoś nie było, Don Kiszot rad nie rad musiał się zwrócić do dziewcząt. Wziął je za dostojne panienki, używające wieczornej przechadzki.

Wtem zabrzmiał róg pastucha nierogacizny, przywołującego głośnym dźwiękiem swoją rozpierzchlą trzodę. Zadowolony Don Kiszot podjechał ku zajazdowi, uważając głos rogu za znak zaprosin. Dziewczyny, przestraszone widokiem człowieka dziwacznie ubranego, z włócznią i tarczą w ręku, wpadły do drzwi domu zajazdnego. Chcąc je ośmielić, Don Kiszot podniósł przyłbicę, ukazał swoją twarz chudą, zakurzoną i miękkim głosem przemówił.

— Nie uciekajcie, dostojne panie, i nie trwóćcie się; przepisy rycerstwa, do którego mam zaszczyt należeć, nakazują mi zbliżać

się do tak zacnych panien z największym szacunkiem i gotowością do usług.

Dziewczyny nigdy jeszcze podobnej mowy nie słyszały; popatrzyły więc zadziwione jedna na drugą, potem spojrzały na rycerza i na twarz jego zaledwie widoczną z pod przyłbicy cokolwiek uchylonej, nakoniec parsknęły głośnym śmiechem.

— Skromność jest ozdobą piękności; śmiać się z drobnostek jest oznaką głupoty—rzekł podrażniony Don Kiszot.—Ale nie dlatego to mówię, żeby wam przykrość zrobić, moje piękne panie—dodał łagodniej—owszem gotów jestem świadczyć wam przysługi. Rozkazuje tylko!

Słuchając tej mowy, dziewczyny śmiały się do rozpuku. W Don Kiszocie krew już wrzeć zaczęła i możeby dopuścił się jakich gwałtownych czynów, gdyby nie to, że nadziedział gospodarz zajazdu, człowiek opasły i widocznie dbający o spokój.

Na widok dziwacznej postaci zbrojnego rycerza i on z trudnością śmiech pohamował; ale przemogła w nim ostrożność i troska o zarobek. Odezwał się tedy grzecznie.

— Panie wojaku, jeśli się panu podoba tu wypocząć, to wszystkiego dostanie, czego potrzeba do pańskiej wygody, oprócz łóżek, bo tych niema w całym domu.

Słyszając gospodarza przemawiającego tak

uprzejmie i zbliżającego się do konia, żeby strzemię potrzymać, Don Kiszot, biorący go za gubernatora zamku, zsiadł z Rosynanta poważnie, choć nie bez trudności, bo mu żelazna zbroja przeszkadzała, a głód i znużenie zważyły jego rzeźkość. Rosynant także omal nie upadał z głodu i utrudzenia.

Zsiadając, Don Kiszot zalecił gospodarzowi największą troskliwość o swoje nieporównane zwierzę. Gospodarz słuchał tego polecenia ze śmiechem i spoglądał niedowierzająco na zapadłe boki szkapiny, wreszcie odprowadził litościwie Rosynanta do stajni.

Przez ten czas dziewczyny zbliżyły się do jeźdźca i pomagały mu rozdziać zbroję. Ale z hełmem nie mogły sobie poradzić. Był on przywiązany do szyi tak mocno, że chyba trzebaby było porozcinać węzły zielonego sznura, na co Don Kiszot zgodzić się nie chciał. Oświadczył nakoniec, że swego szyszaka wcale z głowy nie zdejmie i nawet spać w nim będzie.

Nakoniec dobrze wygłodniały zasiadł w hełmie do stołu. Dzień był postny, podano tylko rybki drobne, suche i przypalone, a do nich chleb razowy, czarny i nadpleśniały. Don Kiszot jednak nie wybredzał, gotów był zjeść rybki z ościami i chlebem zagryzać. Cóż, kiedy nieszczęsna przyłbica nie dawała mu należycie otworzyć ust i malut-

kie rybki nie mogły przedostać się do zębów wojaka. Szczęściem usłużne dziewczęta zaopiekowały się rycerzem: mianowicie jedna wtykała mu do ust rybki, druga — chleb. Niemniejszy kłopot był z napojem: gospodarz musiał lejką wprowadzać mu kwaśne wino do ust. Don Kiszot cierpliwie przyjmował tę pomoc, gotów przenieść większe jeszcze kłopoty, byleby nie rozcinać zielonego sznura u szyszaka.

Kiedy wieczerał, rozległa się piszczałka pastucha, pędzącego osły. Don Kiszotowi wydało się to muzyką, przygrywającą do uczty. Oberżystę uważał ciągle za gubernatora zamku, a kręcące się przy nim dziewczki za panny wysokiego rodu. Jedna tylko myśl ustawicznie go dręczyła: oto, że nie jest jeszcze pasowany na rycerza. Temu koniecznie trzeba było zaradzić.

III.

PASOWANIE NA RYCERZA.

Zaledwie trochę zaspokoiwszy głód, Don Kiszot nie dał sobie wypoczynku, dopóki głównej troski z serca nie zepchnął. Zawołał gospodarza, poszedł z nim do stajni, zamknął wrota za sobą i padł na kolana.

— Wzorze rycerzy i gubernatorów! — zawołał—tu przed tobą klęczeć będę i nie wsta-
nę, aż uczynisz mi łaskę, o którą cię błagam.
Pozyskasz nią sławę dla siebie, a pożytek
i dobro dla całego świata.

Tłusty oberżysta patrzył z podziwieniem
na klęczącego, nie wiedząc, co ma o tem my-
śleć. Prosił go, żeby powstał, ale daremnie.
Nakoniec musiał mu przyrzec, iż spełni jego
prośbę.

— Spodziewałem się tego po twojej wspa-
niałomyślności—rzecze Don Kiszot.—Dowiedz
się, panie, że łaska, o którą cię proszę, pole-
ga na tem, żebyś mi wymierzył uderzenia,
pasujące mi na rycerza. Tej nocy odbywać
będę straż w pańskiej kaplicy zamkowej, że-
by jutro rano otrzymać to, do czego z uprag-
nieniem tęsknię. Wtenczas już mi nie
przeszkodzi powędrować na wszystkie czte-
ry strony świata, jak tego moje powołanie
wymaga, żeby siłą mego ramienia pomagać
uciśnionym, okazać moją dzielność w potycz-
kach i przygodach i świat cały napęłnić
uwielbieniem dla moich czynów. To jest obo-
wiązek błędnych rycerzy, a ja pałam życze-
niem i chęcią spełnienia tego obowiązku,
jako jeden z najwaleczniejszych między
niemi.

Oberżysta widział teraz jasno, że gość je-
go miał zajączki pod hełmem; ale jako czło-

wiek wesoly zgodził się uczynić zadość proś-
bie Don Kiszota i umyślił dobrze zabawić
się jego kosztem.

— Panie wojaku — odpowiedział — prośba
pańska jest bardzo słuszna, a życzenie wiel-
ce chwalebne. Jakżebym mógł tak waleczne-
mu mężowi odmówić, zwłaszcza, że za mło-
dych lat sam byłem błędnym rycerzem i znała
mnie policja w całej Hiszpanji. Wprawdzie
w zamku moim niema teraz kaplicy, bo do-
piero będzie zbudowana; ale w potrzebie
koniecznej można to inaczej urządzić: odbę-
dziesz pan straż nocną na podwórzu zamko-
wem, a jutro dopełnimy reszty obrzędów.
Takie panu dam uderzenia rycerskie, jakich
jeszcze nie dostałeś. Jeszcze jedno: masz pan
przy sobie pieniądze?

— Ani grosza — odrzekł Don Kiszot. — Nie
czytałem też nigdy, żeby błędny rycerz wo-
ził się z pieniędzmi.

— Mylisz się pan — rzekł na to gospodarz. —
Albo ci, którzy pisali pańskie książki, byli
to nierozumni, albo uważali, że ta okoliczność
sama przez się jest zrozumiała i nie warto
o niej wspominać. Cóżby to był za błędny
rycerz bez pełnej sakiewki, bez bielizny do
zmiany i bez balsamu od ran?... Na otwartem
polu, na pustkowiu łatwo o bitwę, a cyrulik
nie zawsze jest pod ręką. Chyba zranionemu
przyśle potężny a przyjazny czarownik uzdra-

wiające krople, ale i na panów czarowników nie można liczyć tak bardzo. Więc błędny rycerz musiałby ginać marnie przez swoją nieopatrzność. Dlatego to błędni rycerze kazali swemu służącemu wozić za sobą pieniądze i wszystko, czego mogli potrzebować; a jeśli który nie miał służącego, co się rzadko zdarzało, to sam woził potrzebne rzeczy w zawiniątku. Panu także radzę nigdy nie wyjeżdżać bez pieniędzy i innych rzeczy koniecznych.

Don Kiszot przyrzekł zastosować się do tej rady i tymczasem pomyśleli o urządzeniu straży nocnej. W podwórzu była studnia, przy niej koryto. Don Kiszot ustawił swoją zbroję na korycie, zarzucił swoją tarczę na plecy, włócznię wziął do ręki i zaczął poważnym krokiem przechadzać się wzdłuż koryta. Było już koło północy, kiedy zaczął stróżować.

Wróciwszy do gospody, gospodarz opowiedział gościom swoim o szaleństwach dziwnego przybysza; naturalnie wszyscy śmiali się i drwinkowali. Podeszli do okna, skąd widać było, jak Don Kiszot stapał przy korycie tam i napowrót, jak zatrzymywał się niekiedy, wsparty na włóczni, i jak księżyc srebrzył blachę jego zbroi.

Wtem jeden z mulników chciał napoić swoje muły, nie mógł jednak tego zrobić inaczej, jak tylko zdejmując zbroję z koryta.

Na widok zbliżającego się mulnika, Don Kiszot zawołał już zdala.

— Ktokolwiek jesteś, zuchwały, nie wąż się tknąć zbroi najwaleczniejszego rycerza, bo życiem swoje zuchwalstwo przyplacisz!

Mulnik jednak nie zważał na tę przestrożę i zrzucił zbroję tak silnie, że się rozleciała opodał.

Przejęty zgrozą, Don Kiszot wznosił oczy ku niebu, wspomniawszy na swoją Dulcyneę i tak potężnie w głowę uderzył włócznią mulnika, że ten padł na ziemię zemdłony.

Potem z całym spokojem zebrał Don Kiszot swoją zbroję, ustawił ją znowu na korycie i nie troszcząc się o mulnika leżącego bez przytomności, przechadzał się dalej wzdłuż koryta.

Niebawem drugi mulnik, nic nie wiedząc o pierwszym, zbliżył się do studni z takim samym zamiarem i oczywiście także zdjął zbroję. Don Kiszot już go nie ostrzegał, tylko tak włócznią okładał, że mu kilka ran w głowie zrobił.

Na krzyk bitego zbiegli się ludzie z oberży, a między nimi gospodarz.

Niezatrwożony Don Kiszot chwycił pałasz i zawołał:

— Dulcyneo, królowo mego serca, pomagaj mi! Wielka przygoda czeka twego rycerza!

Własny głos tyle mu dodał zapału, że gdyby pasterze mułów całego świata na niego napadli, nie cofnąłby się przed niemi.

Towarzysze pobitych obrzucili Don Kiszota gradem kamieni. On zasłaniał się tarczą, ale z miejsca nie ustępował i ciągle pilnował swej zbroi, aż wdał się w tę sprawę oberżysta, ułagodził mulników i przypomniał im to, co opowiadał o szaleństwie Don Kiszota, któremu, jako człowiekowi, mającemu źle w głowie, należy się pobłażanie.

Don Kiszot oburzył się straszliwie, groził, że wszystkich zmiażdży, ale mulnicy, już uspokojeni, zabrali rannych i odeszli. Gospodarz zaś, któremu już naprzykrzyła się ta historia, postanowił ją skończyć czempredziej.

Przeprosił więc grzecznie Don Kiszota za grubijaństwo tych ludzi i powiedział.

— Dowody pańskiego męstwa są dostateczne. Chodzisz pan już cztery godziny na straży, a wystarczyłyby dwie godziny. Teraz więc pod gołem niebem, zanim słońce wzejdzie, przyjmij należną nagrodę swego męstwa.

To powiedziawszy, przyniósł z szynkowni wielką księgę, w której zapisywał należności, przyprowadził z sobą chłopaka, trzymającego ogarek łojówki, znalazły się też i obie dziewczyny.

Wtedy oberżysta kazał Don Kiszotowi klęknąć i czytając coś niby ze swojej wielkiej księgi, grzmotnął go w kark z całej siły, następnie płazem własnej szabli Don Kiszota uderzył go po ramieniu, ciągle mamrocząc, jakby czytał z książki.

Potem na rozkaz oberżysty jedna z dziewczyn przypasała rycerzowi szablę, druga przypięła mu ostrogi; w końcu gospodarz uściskał się z Don Kiszotem, wysłuchał jego podziękowań i życzył mu powodzenia; o zapłacie zaś za wieczrę nawet nie wspominał.

Dziewczyny wywiązywały się z wielką godnością z danych sobie poleceń. Wprawdzie obie miały wielką ochotę wybuchnąć śmiechem; ale że widziały, jak byli potraktowani mulnicy, wołały więc nie drażnić wójaka.

Zadowolony wielce Don Kiszot ubrał się w swą zbroję, wsiadł na Rosynanta i wczesnym rankiem, już jako rycerz pasowany, wyjechał z oberży na poszukiwanie przygód.

IV.

RYCERZ POBITY.

Promienie wschodzącego słońca oświetliły szczęśliwego rycerza i odzwierciedlały się w jego tarczy. Serce jego biło zapalem i pragnieniem wielkich czynów; radość omal że nie wysadzała go z siodła. W dobrą porę przypomniała mu się rada gubernatora i zamierzał wrócić do domu, ażeby się zaopatrzyć w pieniądze i rzeczy potrzebne. Również spostrzegł się, że służący rycerski czyli giermek byłby mu także przydatny. Myślał właśnie nad tem, gdy przypomniał sobie, że zna jednego biednego wieśniaka ze swej wioski, który może być szczególnie odpowiedni na ten urząd.

Jadąc z takimi myślami, usłyszał jęki z pobliskiej gęstwiny. Zwrócił natychmiast konia i ujrzał chłopca przywiązanego do drzewa i obnażonego po pas, wyrostka może piętnastoletniego, którego tęgi chłop nilitościwie rzemieniem smagał.

Don Kiszot pomyślał, że to właśnie jest najlepsza sposobność bronięcia niewinności i zawołał do chłopca.

— Ty nikizemny rycerzu bez czci i wiary! Czy tak się postępuje z ludźmi? Czy to godziwie znęcać się nad bezbronny? Wsiądź

na konia, weź włócznię, a ja ci pokażę, że jesteś nędznym tchórzem!

Chłop, wystraszony widokiem jeźdźca, a zwłaszcza jego włóczni, gotowej krew toczyć, miał się już za zgubionego i odpowiedział najgrzeczniej.

— Panie wojaku, ten chłopiec jest moim parobkiem i słusznie karę odbiera. Pasie moje owce tak niedbale, że mi codzień jedna ginie. Kiedy go karzę, on mówi, że to ze skapstwa, żeby mu należności nie zapłacić. A kłamie, że...

— Ty kłamiesz! — krzyknął Don Kiszot. — Zaraz mi odwiąż chłopca i natychmiast wypłać mu należność, bo inaczej przebiję cię tą włócznią!

Chłop spełnił rozkaz, opuściwszy głowę, i odwiązał parobka. Teraz Don Kiszot zwrócił się do uwolnionego i zapytał, ile mu gospodarz jest winien.

— Za dziewięć miesięcy, po siedm realów na miesiąc—odrzekł parobek.

Chłop spojrział oszołomiony, a Don Kiszot, policzywszy w myśli, ile to uczyni, rzekł grzmiącym głosem:

— Wypłać mu natychmiast sześćdziesiąt trzy reale, jeśli ci życie mile.

— Chociażbym zaraz miał paść trupem, to wypłacić nie mogę natychmiast, bo przecie realów z sobą do lasu nie noszę—odpo-

wiedział chłop, a obracając się do parobka, dodał.

— Chodź, Andrzeju, ze mną do domu, to ci zaraz wypłacę wszystko, co ci się należy.

Ale parobczak nie dowierzał tej obietnicy; bał się, że gdy tylko gospodarz zostanie z nim sam na sam, to jeszcze gorzej się z nim obejdzie; nie ruszał się więc z miejsca. Ufniejszy był Don Kiszot. Wziął obietnicę od chłopca, że wypłata zaraz nastąpi i zadowolony odjechał, zagrożony swoją zemstą w razie złamania słowa.

Chłop tylko czekał, żeby się rycerz oddalił. Kiedy już znikł mu z oczów, przywiązał parobczaka znowu do drzewa i tak go wychłostał, że chłopak nie mógł ustać na nogach.

Tymczasem Don Kiszot, rad z siebie, przybył na rozstajne drogi i puścił cugle, aby Rosynant wybierał drogę, którądy iść na przygody. Koń pewny był siebie i ruszył z kopyta, kiedy nagle jeździec go wstrzymał.

Zdała podniósł się tuman kurzawy. Zbliżało się kilku jeźdźców, zamożnie wyglądających, a przy nich drugie tyle służby.

Don Kiszot wziął przed siebie tarczę, złożył się włócznią i czekał na drodze w przewidywaniu przygody. Nadjeżdżający byli to spokojni kupcy. Zdziwieni spoglądali po sobie, nie rozumiejąc, z jakiej przyczyny ktoś im drogę zagraadza.

Don Kiszot poprawił się na siodle i przemówił do nich wyzywającym tonem.

— Ktokolwiek jesteście, przyznajcie, że Dulcynea z Tobozo przewyższa wszystkie piękności na świecie, albo dowiodę tego wam i całemu światu.

Gromadka jeźdźców zatrzymała się, z drwiącym uśmiechem patrząc na śmiałego bohatera; jeden zaś z nich, w lot chwytając sposobność do żartu, odpowiedział.

— Szlachetny rycerzu, tej osoby żaden z nas nie zna; pokaż ją nam, a jeśli jest naprawdę tak piękna jak głosisz, to wszyscy chętnie przyznamy.

— Jakaż byłaby wasza zasługa? — odparł Don Kiszot.—Właśnie, że nie wiedzieć, a wierzyć, jest zasługą rycerza. Stańcie do rozmowy ze mną, każdy osobno, jak wymagają przepisy rycerstwa, czy też wszyscy razem, jeżeli jesteście tylko lichą zgrają. Czekam was nieustraszony, ufny w słuszność mojej sprawy. Dulcyneo z Tobozo! rycerz twój walczy za ciebie!

— Z drogi!—zawołał zniecierpliwiony mulnik—albo zaraz tu z ciebie miłość wypędzę!

Don Kiszot spał konia ostrogą i popędził do niego z takim impetem, że mogłoby źle być z mulnikiem, gdyby nie to, że Rosynant w biegu potknął się i upadł. Biedny rycerz w pradziadowskiej zbroi, wyrzucony z sio-

dła, rozciągnął się w sąsiednim rowie jak długi, włócznia i tarcza wypadły mu z rąk, a choć usiłował powstać, nie mógł tego dokazać.

— Stójcie, tchórze, jeśli wam nie brak odwagi!— wołał z ziemi.— Nie ja, lecz koń mój winien, że leżę!

Nagle mulnik pochwycił włócznię nieboraka, złamał ją na kilka kawałków i zaczął niemi okładać leżącego. Z włóczni zostały tylko drzazgi. Po tej doraźnej karze cała gromada odjechała, pozostawiając Don Kiszota leżącego bezwładnie, zlorzeczącego i jęczącego. Jeżeli poprzednio wstać nie mógł, teraz jeszcze ciężiej mu było ruszać się.

Leżąc, rozmyślał, co też w jego księgach tak bohatercko opisani rycerze robili w podobnych wypadkach?

V.

DON KISZOT ZNAJDUJE SOBIE GIERMKA.

Bezwładny Don Kiszot przeleżał kilka godzin obok swego Rosynanta. Szczęściem znajomy chłop z jego wsi przechodził tamtędy i spostrzegł biedaka. Ulitowawszy się, zszedł do niego z pomocą, podniósł przyłbicę, rękawem obtarł mu twarz zabłoconą i wtedy dopiero go poznał.

— Kto tak pana urządził, panie szlachciucu?— zapytał ze współczuciem.

Ale Don Kiszot, zamiast odpowiedzi rozsądnie, zaczął mówić wierszami, które sobie przypomniał z rozmaitych ksiąg rycerskich i chłop nie mógł nie wyrozumieć z tych bredni. Jedno było jasnym, oto, że leżący potrzebował śpiesznej pomocy. Uczynny kmięć zdjął z niego zbroję, zrobił z niej pakunek, nie zapomniawszy podnieść wszystkich trzask z włóczni, postawił konia na nogi i pakunek zarzucił mu na plecy. Potem wsadził Don Kiszota na swego osła i prowadząc oburącz zwierzęta, ruszył ku swojej wiosce.

Jeszcze po drodze chciał się czegoś dopytać. Cóż, kiedy Don Kiszot ciągle prawił nie do rzeczy, aż się chłopu w głowie kotłować zaczęło.

Widząc, że rycerz ma pomieszenie klepki, dobry człowiek rzekł nareszcie:

— Nie jestem ci ja żadnym hrabią ani księciem, jak wielmożny pan we mnie wmałwia, tylko gospodarzem z tej samej wsi. Ale że religja każe bliźniemu pomagać w nieszczęściu i że panisko znam oddawna, jako poczciwego człowieka, więc też nie mogłem go minąć i leżącego zostawić bez ratunku.

Zanim wjechali do wioski, chłop stanął i poczekał do zmroku, bo sobie miarkował, że to «nijako będzie pokazać ludziom sta-

tecznego człowieka w tak oplakany stanie». Późnym wieczorem dopiero zapukali do mieszkania Don Kiszota.

Trafili na wielkie zamieszanie i desperację. Gospodyni lamentowała, że pan gdzieś uciekł, bo «pewnikiem te nieszczęśliwe książki przewróciły mu w głowie».

— Od dwóch dni go niema w domu!—wołała, skarżąc się przed proboszczem i cyrulikiem, którzy przyszli po wiadomości o swoim dawnym znajomym. — Zabrał też swego konia i zbroję. Co to z tego wyniknie!

— Całe dni i noce spędzał nad książkami—skarżyła się siostrzenica—kiedy się czytał, to brał włócznię i kłuł ściany, aż mu pot strugami ociekał z czoła. Krople potu wydawały mu się krwią, którą przelewał, walcząc z wielkoludami. A kiedy już był zupełnie zmęczony i kiedy go kubkiem świeżej wody orzeźwiłam i uspokoiłam, to wyobrażał sobie, że potężny czarownik przyniósł mu napój orzeźwiający. Czemuż ja, nieszczęśliwa, pierwej nie dałam panom znać o tych napadach?!

— Precz z temi zgubnemi książkami!—zawołał proboszcz. — Zniszczyć je trzeba, żeby kto inny jeszcze nie stracił od nich rozumu. Dobra książka to lekarstwo, ale zła jest trucizną.

Wtem rozległo się pukanie. Otwarto drzwi

i ujrzano nieszczęsnego rycerza; z radością wszyscy zaczęli go witać, ale Don Kiszot powiedział.

— Dajcie mi pokój; wracam poraniony; zanieście mnie do łóżka. Ale to nie moja wina, tylko mojego konia. Upadek w walce z wielkoludami bardzo mnie osłabił.

— Już i wielkoludy się zjawiły? Jutro spalimy ich wszystkich—mruknął proboszcz, mając na myśli książki.

Ułożono Don Kiszota na łóżku. Szczęściem, oprócz siniaków nie miał najmniejszego zadraśnięcia; nigdzie ani śladu krwi. Wnet też zasnął głęboko. Kiedy nazajutrz rano przyszli proboszcz i cyrulik, Don Kiszot jeszcze się ze snu nie ocknął.

Korzystając ze sposobnej chwili, zabrano się do książek. Znaleziono ich więcej niż sto w komórce, wielkich i małych; niektóre były bardzo pięknie oprawne.

Gospodyni ułożyła na podwórzu przed oknem wielki stos drzewa suchego, zapaliła go i książki kolejno wylatywały przez okno na ogień.

Opróżnioną komórkę pokropiła gospodyni wodą święconą, żeby złe duchy odpędzić, potem sprowadziła murarza i kazała zamurować komórkę. Spodziewano się, że skutkiem tego rycerz powróci teraz do zdrowia.

Don Kiszot obudził się i zaczął hałasować w swoim pokoju, wyobrażając sobie, że walczy jeszcze z potworami i olbrzymami. Sprowadzono znów proboszcza, któremu powiodło się uspokoić go ile tyle i namówić do cierpliwego leżenia w łóżku. Tak spędził Don Kiszot kilka dni, podczas których wypoczął, odzyskał siły i żadnym słówkiem nie wskazywał, że chce nowych przygód szukać.

Kiedy się podniósł nareszcie, pierwsze kroki zwrócił do komórki z książkami.

Patrzy, a tu komórka znikła i znaku nawet niema, gdzie były drzwi.

— Gdzie się podziała komórka? Gdzie są książki?—pyta rozdrażniony.

— Zły czarownik zabrał to wszystko—tłumaczyła mu siostrzenica.—Przyleciał na wielkim smoku i wpadł prosto do komórki. Narobił tam wielkiego łośkotu, a kiedyśmy przybiegły strwożone, już wszystko znikło.

— To mój nieprzyjaciel śmiertelny, ten czarownik. Nienawidzi mnie, bo wie, że ja go pokonam. Czekaj, nie ujdiesz mojej dłoni! — krzyknął gniewnie, zaciskając pięści. Zaniechał jednakże dalszego szukania, widząc, że to do niczego nie doprowadzi.

Mimo to nie zmienił swoich zamysłów. Często usiłował przekonać proboszcza, że niema na świecie powołania tak ważnego

i potrzebnego, jak błędne rycerstwo, zapewniał, że choć teraz o błędnych rycerzach trochę zapomniano, ale on przywróci temu stanowi dawną świetność.

Nie chcąc mu się sprzeciwiać, proboszcz słuchał jego dowodzeń cierpliwie.

Inny skutek miały rozmowy Don Kiszota z sąsiadem, chłopem dobrym, ale głupowatym, nazwiskiem Sanczo Pansa. Don Kiszot robił mu wspaniałe obietnice, przyrzekał zdobyć dla niego jaką wyspę, albo nawet królestwo. Sanczo tak się dał obalamucić, że oświadczył gotowość porzucenia żony i dzieci i wyprawienia się w świat z Don Kiszotem, jako jego giermek, czyli sługa rycerski.

Don Kiszotowi brakło już tylko pieniędzy i bielizny. W wielkiej tajemnicy sprzedał część swojego gruntu, inny kawałek wydzierżawił; posiadał tym sposobem dosyć znaczną kwotę. Tak zaopatrzony, kazał Sanczowi Pansie przysposobić się do drogi, wziąć z sobą wszystko, czego potrzebować mogli, a więc zapas jada i napoju i węzełek z odzieniem.

Przez kilka dni utrzymywali to w tajemnicy, aż jednego wczesnego poranku wyjechali obaj cichaczem, nie pożegnawszy nikogo. Przed wyjazdem Don Kiszot sam naprawił swoją zbroję, poturbowaną w przygodzie z kupcami, i kupił sobie nową włócznię.

Dziwnem się wydawało Don Kiszotowi, że giermek jego jechał na osle. W żadnej powieści rycerskiej nie czytał o takim wierzchowcu. Potrochu jednak zgodził się na osielka, obiecując sobie, że gdy zwycięży jakiego niegrzecznego rycerza, to mu zabierze konia i odda giermkowi.

VI.

WALKA Z WIATRAKAMI.

Czas jakiś jechali w milczeniu. Ale że Sanczę Panse język świerzbiał, więc gdy już kawał drogi od swojej wsi odjechali, odezwał się:

— Wielmożny błędny rycerzu, a niech też pan pamięta o tej wyspie, którą mi pan obiecał.

— Błędni rycerze zawsze nagradzali swoich wiernych giermków — odpowiedział Don Kiszot — i ja też, skoro tylko zdobędę jaką wyspę albo i królestwo, to ci je oddam za twoją wierną służbę.

— Królestwo?... To moja żona, Jagusia, byłaby królową, moi synowie — królewicze, a moje córki — królewny?

— Oczywiście — rzecze Don Kiszot — czy wątpisz o tem?

— Juści wątpię trochę — zauważył Sancho. — Gdyby korony leciały, jak ulegałki z drzewa, to jeszcze trudno byłoby znaleźć taką, żeby na głowę mojej Jagusi była w sam raz. Bogiem a prawdą, wielmożny panie, to ona na królowę taka zdatna, jak wół do karety. Na hrabinę to jeszcze, pożał się Boże, a i tego już zanadto.

— Bądź spokojny, jak Bóg poszczęści, to wszystko dobrze wypadnie.

Kiedy tak rozmawiali, Don Kiszot spostrzegł ze trzydzieści albo czterdzieści wiatraków, których śmigi obracały się szparko.

— Szczęście nam sprzyja! — zawołał Don Kiszot. — Widzisz tych olbrzymów nadętych, jak ramionami machają? Uderzę na nich, zwyciężę ich i uśmiercę. To plemię trzeba wytępić!

— Gdzie są ci olbrzymi? — zapytał Sancho.

— Czy nie widzisz? Oto ci, którzy tam ramionami machają.

— Wielmożny panie, przecież to wiatraki!

— Prostatku, nie znasz się na rycerskich przygodach. Zostań się, jeżeli cię tchórz oblatuje, a ja sam na nich uderzę.

To mówiąc, dał Rosynantowi ostrogę i powałowiał.

— Stójcie, trwożliwe stworzenia! — wołał — nie uciekajcie przed jednym rycerzem!

Wezwał opieki Dulcynei, osłonił się tarczą

i popędził ku najbliższemu wiatrakowi. Wtem wiatr zerwał się mocniejszy, śmiga pochwyła Don Kiszota razem z koniem i odrzuciła daleko.

Sanczo Pansa podreptał do swego pana tak prędko, jak tylko osieł mógł nadażyć, postawił rycerza na nogi i zaczął mu przedstawiać, że do czego to podobne rzucać się na wiatraki i walczyć z nimi!

— To znowu sprawka tego niegodziwego czarownika, który mi książki pochwyił! — odparł Don Kiszot.—Poprzemieniał wielkoludów w wiatraki, żeby mię pozbawić chwały zwycięstwa nad nimi! On jest bardzo zawzięty na mnie, ale nie zawsze mu się jego sztuki będą udawały! Przyjdzie i moja kolej!

— Daj to Boże!—westchnął Sanczo. Podsadził swego pana na Rosynanta, który już trochę utykać zaczął, i puścili się w dalszą drogę, rozmawiając o doznanej przygodzie.

Włócznia Don Kiszota popękała; że jednak przypomniał sobie, co czytał o jednym rycerzu, który na miejscu strzaskanej lancy ułamał gałąź dębową i tym orężem mnóstwo nieprzyjaciół pozabijał, więc postanowił tak samo sobie poradzić.

Sanczo Pansa zauważył, że pan jego zwiesza się na jeden bok Rosynanta, zamiast siedzieć równo. Zapytał więc, czy jakie dolegliwości czuje, czy też jest poraniony.

— Błędny rycerz nigdy się nie skarży na rany, choćby mu wnętrzności wypadły—odparł Don Kiszot.

Giermek rad był, że przynajmniej jemu wolno się wyżalić, gdyby mu co doskwierało, a właśnie czuł głód i pragnienie. Odezwał się z tem, a szlachetny rycerz pozwolił mu zaspokoić obie te potrzeby, Sanczo Pansa korzystał z tego, porządną część zapasów spożył sam, bo Don Kiszot nie chciał jeść i pić, pogrążony w myślach o pięknej Dulcynei.

Pokrzepionemu giermkowi podobało się błędne rycerstwo, szczególnie, kiedy wspominał na obietnicę swego pana co do owej wyspy lub królestwa.

Ponieważ było już późno, a do wsi daleko, nocowali więc pod drzewem, z którego Don Kiszot ułamał gałąź, mającą zastąpić włócznię, a do gałęzi przytwierdził żeleźce ze swojej popękanej spisy. Całą noc przepędził bezsennie, jak prawemu rycerzowi przystało, marząc o swojej sławie i o królowej swego serca. Natomiast Sanczo Pansa, który nie tylko podjadł, ale i wypił dobrze, spał tak twardo, że nazajutrz ani jasne słońce, ani świegotanie ptasząt obudzić go nie mogły.

Dopiero pan jego przerwał ten miły wypoczynek i kazał mu ruszać w dalszą drogę.

Ze smutkiem spostrzegł Sanczo, że worek

z zapasami stał się znacznie lżejszym, więc nawet nie przypominał rycerzowi o śniadaniu. Sam tylko łyknał sobie nieźle, żeby mu sił do służby nie zbrakło.

Obaj jeźdźcy skierowali się ku wąwozowi Lapika, gdzie Don Kiszot spodziewał się na pewno jakiej przygody rycerskiej.

— Słuchaj — rzecze Don Kiszot — kiedy będę się potykał z rycerzami, ty ani się waż pomagać mi, choćbym był w największym niebezpieczeństwie.

— Dobrze, proszę wielmożnego pana, z największą chęcią, tembardziej, że z urodzenia wcale nie jestem zawadką. Ale jeśli mnie kto napadnie, to będę musiał się bronić.

— To ci wolno, a także i wtenczas możesz dobyć oręża, kiedy będziemy musieli walczyć z takimi samymi ludźmi, jak ty jesteś.

Kiedy tak rozmawiali, na drodze ukazała się gromadka ludzi. Naprzód jechali osobno dwaj nauczyciele w długich, czarnych ubraniach, z parasolami i w okularach ciemnych, chroniących od blasku. Za nimi szła osobno karetą, a koło niej kilku jeźdźców i kilku mulników.

Na ten widok Don Kiszot zawołał:

— Czy widzisz? To są dwaj czarownicy; porwali oni i uwożą piękną księżniczkę. Zaraz wymierzę im sprawiedliwość.

To mówiąc, najeżył włócznię, ubódł Rosy-

nanta ostrogą i tak chwacko puścił się na jednego z nauczycieli, że byłby go nawskroś przebił, gdyby tamten zawczasu nie był się ze swego muła zsunął na ziemię.

Żeby uniknąć napaści, drugi nauczyciel pogalopował w pole.

Ludzie, otaczający karetę, zatrzymali się i poglądali ze zdumieniem na tę napaść, nie mieszając się do niczego.

Wtedy Don Kiszot, zadowolony ze zwycięstwa, podjechał do karety, a widząc w niej siedzącą jakąś panią, przemówił do niej w te słowa.

— Uspokój się, szlachetna damo, powaliłem twoich porywców. Jestem Don Kiszot z Manczy, błędny rycerz. Zgodnie z mojem powołaniem przywracam pani swobodę. Każ pani zawrócić karetę i...

— Na bok! — zawołał jeden z jeźdźców. — Jeśli będziecie zastępowali drogę, to ja was nauczę!

Don Kiszot obejrzał mówiącego od stóp do głów i odpowiedział pogardliwie.

— Co? ja nie jestem szlachcicem? Wydobądźno szabli, zuchu, a dowiesz się, z jakiegom ja gniazda!

Nie dał sobie tego dwa razy powtarzać nasz rycerz i obaj, zacierzewieni, pomimo próśb siedzącej w karecie pani, zwarli się zaciekle.

Zaraz w pierwszym spotkaniu jeździec tak trzepnął pałaszem w ramię błędnego rycerza, że byłby mu je obciął, gdyby blaszany pancerz nie stąpił uderzenia.

Zamiast tarczy, osłaniał się jeździec poduszką, którą do tego pojedynku pochwycił z karety. Ocaliło mu to życie, bo Don Kiszot wymierzył mu tak potężny raz w głowę, że mimo poduszki jeździec krwią się zalał i spadł z muła.

Na ten widok błędny rycerz zeskoczył z konia, oparł leżącemu szablę swoją na gardle i zawołał:

— Poddaj się, albo cię uśmiercę!

Powalonemu ciekła krew nosem i ustami, że nie mógł przemówić słowa. Wstawiła się za nim pani z karety.

— Piękna damo!—rzecze Don Kiszot.—Na twoje prośby daruję mu życie, ale musi przyrzec, że pójdzie do Tobozo, przedstawi się uroczej Dulcynei i odda się jej na łaskę i niełaskę.

Podróżna przyrzekła wszystko, czego domagał się rycerz; ale tymczasem giermek jego nie próżnował, i zaraz na początku rozprawy zaczął obdzierać z odzieży leżącego na ziemi nauczyciela. Dopiero ludzie, przy karcie będący, wdali się w to, obili Sanczę i uwolnili napastowanego, który, nie czekając dłużej, wsiadł na muła i popędził za swoim towarzyszem.





Kiedy nareszcie kareta i towarzyszący jej ludzie udali się w dalszą drogę, Sancho przemówił.

— Cóż, wielmożny rycerzu, będzie wyspa? Za taką szczęśliwą przeprawę wartbym ją dostać.

— Alboż przy takiej sposobności zdobywają się wyspy? To tylko zwykła przygoda w podróży—odpowiedział Don Kiszot.

— Jeszcze kilka takich zwyczajnych przygód, a wielmożny pan może zostać bez uszów—zauważył giermek.

Teraz dopiero spostrzegł Don Kiszot, że jego przeciwnik, tnąc go w ramię, pozbawił go kawałka ucha.

— Znam ja przepis na balsam tak skuteczny, że choćby człowieka na dwie połowy przeciąć, byle te połowy prędko tym balsmem nasmarować i złożyć, zanim krew ostygnie, to się wnet zrosną bez śladu i człowiek będzie zdrow jak ryba.

— Czy ten, co smaruje?

— I temu także pomaga.

— O, mój panie wielmożny, to już ja zrzekam się wyspy, niech pan mnie tylko nauczy robić ten balsam; już z samej sprzedaży będę miał dosyć pieniędzy dla siebie, dla mojej Jagusi i dla dziecisków. Ale panu krew z ucha płynie ciurkiem. Póki balsamu niema, trzeba na to coś poradzić.

Mówiąc to, poczciwy giermek zlął z osła, wyszukał trochę rozmarynowych liści, roztarł je, posolił, nałożył na gałganek i przewiązał ucho rycerzowi, któremu ten opatrunek istotnie przyniósł ulgę.

VII.

PRZYGODA Z PASTERZAMI.

Odjechawszy kawalek dalej, pan i sługa zsiadli ze swoich wierzchowców i puścili je na trawę, a sami posilali się z zawiniątka, które Sanczo zdjął z osła.

Wypadek zrządził, że na tym samym kawalku pastwiska pasł się tabun koni pod okiem kilkunastu pasterzy. Koniom nie podobano się przybycie do nich Rosynanta i zaczęły gryźć go i wierzgać. Pasterze też, aby przywrócić spokojność, odpędzili biednego Rosynanta, bijąc go kijami.

Czujny Don Kiszot zerwał się, żeby ukarać krzywdzicieli swego wierzchowca.

— Niech pan da pokój, bo niewiadomo, jak będzie z tą karą; ich jest ze dwudziestu, a nas dwóch tylko—szepnął trwożliwie Sanczo Pansa.

— Ja sam stu takim poradzę — krzyknął Don Kiszot i rzucił się zajadle na pasterzy.

Sanczo pośpieszył za swoim panem, dobywszy pałasza.

Pasterze zmieszali się tym nagłym napadem, zwłaszcza, że Don Kiszot zdzielił tak potężnie jednego z nich, aż go obalił; kiedy jednak dorachowali się, że mają dwóch tylko przeciwników, zebrali na odwagę i choć tylko uzbrojeni w kije, nieźle używali tej broni. Sanczo padł za drugim uderzeniem. Don Kiszot uwijał się jeszcze chwilę, nareszcie i on rozciągnął się jak długi na ziemi pod gęstym gradem uderzeń.

W obawie, czy tego bicia nie było za wiele, pasterze wsiedli na konie i oddalili się czempredzej.

Ponieważ Sanczo Pansa zaraz na początku bijatyki się zwałił, więc mniej będąc poturbowanym, pierwszy też głos wydał:

— Oj, oj, oj! wielmożny panie rycerzu! oj, oj, oj! Żebyśmy to mieli ten balsam cudowny, o którym wielmożny pan mi opowiadał! Byłby nam bardzo przydatny po tych kijach, któreśmy dostali.

— Twoje plecy do tego przywykły — odparł Don Kiszot — ale moje długo to pamiętać będą. Tymczasem wiedz o tem, że kiedy szewc uderzy kopytem, to chociaż ono także jest drewniane, jednak się nie mówi, że uderzył kijem. Ci pasterze używają oszczepów, a oszczep to broń rycerska.

— Czy i te koniopasy, to także rycerze?

— Gdyby to byli rycerze, byłbym ich zwyciężył. Ale właśnie że to podły gmin. Drugim razem, jak z motłochem takim będzie do czynienia, to ty sam powinieneś się uporać!

— Bardzo dziękuję wielmożnemu panu. Ja tam nie zadziorny. Ale Rosynant uważał, że ich konie godne są dobrego towarzystwa. Biedaczysko, nie doniesie on teraz wielmożnego pana. Chyba, że pan zgodzi się pojechać na moim Burym, który sam tylko z całej naszej czwórki nic nie oberwał.

— Ha, cóż robić! kiedy mam ciebie za giermka, to mogę mieć twego osła za wierzchowca.

Z wielką biedą podniósł Sanczo najpierw Rosynanta, później swego pana, ten jednak nie mógł już o własnej sile dosiąść osła; Sanczo musiał go więc wsadzić na Burego i przywiązać, jak sakwy. Potem Rosynanta przywiązał Buremu do ogona, a sam szedł naprzód, prowadząc osielka. Tak zawlekli się do jakiejś gospody, którą Don Kiszot, pomimo zapewnień swego giermka, że to zwykły zajazd, uparł się uważać za wspaśniały pałac.

VIII.

ZACZAROWANA GOSPODA.

Widząc przybywających w takim smutnym stanie, a szczególnie ogromnego rycerza na małym osielku, gospodarz zajazdu spytał, co im się stało.

— Chodziliśmy w pobliżkie góry — odpowiedział Sanczo — i spadliśmy z jednego kamienistego wierzchołka, który się pod nami oberwał. Ja potrzebuję opatrunku, a mój pan jeszcze bardziej.

Litościwy oberżysta urządził im posłanie w lamusie, to jest w składzie niepotrzebnych rupieci, i przy pomocy swego parobczaka opatrzył ich rany i sińce.

Wśród tego opatrywania młody chłopak, obkładając ich plastrami, zauważył, że potłuczenia bardziej są podobne do znaków po dobrym basarunku, niż do sińców po upadku. Ale gospodarz kazał mu być cicho.

— Kiedy taki szanowny gość mówi, że upadł, to upadł i basta! — powtarzał oberżysta do swego sługi.

Dla oberżysty szanownym był każdy gość, od którego spodziewał się zarobku. Ale słowa jego tembardziej pochlebily Don Kiszotowi, że je przypisywał uwielbieniu, jakie wzbudzała jego osoba.

— Gdybyś, uprzejmy gubernatorze tego pałacu, potrzebował pomocy mojego ramienia — rzekł rycerz — to wezwij mnie tylko, a pośpieszę na twoje usługi i nieprzyjaciół twoich skruszę na miazgę.

— Ja spokojny człowiek — odpowiedział oberżysta—i nie mam nieprzyjaciół, ale dziękuję panu za dobre chęci.

W tym samym lamusie ułożył się także do spania mulnik, który przyjechał wieczorem. Wkrótce zgaszono latarkę, i wszyscy trzech pogrążyli się w głębokim śnie.

W nocy nadjechało kilku furmanów. Oberżysta potrzebna była latarka, posłał więc po nią swego chłopca do lamusa. Don Kiszot, który miał czujny sen, zerwał się i wyciągnął ręce, mniemając, że to jakiś duch po lamusie chodzi. Naraz chłopiec potknął się o jego długie nogi i upadł. Na ten odgłos zerwał się mulnik, i będąc pewnym, że to złodziej, wpadł na Don Kiszota, wstającego ze swego posłania, a rzuciwszy się na niego, zaczął go tak bić, że biedny rycerz obalił się na pół żywy. Tymczasem parobczak, żeby guza nie oberwać, usunął się od Don Kiszota chyłkiem i trafił na tarczę. Rozbudzony giermek porwał się na niego i zaczął go pięściami okładać. Mulnik, zauważywszy, że jeden przeciwnik już jest całkiem pokonany, pośpieszył tam, skąd go do-

chodził odgłos uderzeń i wpadł na Sanczę i parobka. Wtedy wytworzyła się ogólna bójka, która potrwałaby może do samego ranka, gdyby jej nie przerwał zniecierpliwiony oberżysta, przybyły właśnie do lamusa, wołając gromkim głosem.

— Gdzież ten zbereźnik, mój parobek? Posłałem go po latarkę, i ani jego, ani latarki...

Usłyszawszy gniewne słowa swego pana, wyrostek przytulił się do najciemniejszego kąta. Wtedy mulnik spostrzegł swoją pomyłkę, gdyż oczywiście nie był to złodziej, który do lamusa się zakradł, popełnił więc na swoje posłanie. Don Kiszot nie chciał opowiadać przed wszystkimi, że go sromotnie obito; i Sanczo Pansa za przykładem rycerza zachował milczenie. Cicho się więc zrobiło w lamusie, jakby makiem zasiał. Gospodarz namacał szczęśliwie latarkę i wyszedł, a za nim ukradkiem pobiegł i jego sługa.

Dobry już dzień był, kiedy Don Kiszot i Sanczo Pansa zbudzili się po nocy tak przyjemnej. Mulnika w lamusie już nie było.

— Straszni czarownicy nawiedzali mnie dzisiejszej nocy—rzecze Don Kiszot.

— Oj, straszni, bo i mnie bardzo boli po ich wizycie—przytwardził Sanczo.

— To musi być jakiś pałac zaczarowany—

zauważył Don Kiszot. — Błędnym rycerzom nieraz trafiają się takie przygody.

Rano pan i sługa wsiedli na swoje wierzchowce i gotowi byli już do wyjazdu. Ale gospodarz zjawił się na podwórku i zażądał zapłaty za nocleg.

— Odkądże to w pałacach każą błędnym rycerzom dopłacać do zaszczytu ich przenocowania? — zapytał podrażniony Don Kiszot i tak potężnie ubódł ostrogami Rosynanta, że szkapina pocwałowała na gościniec, zanim oberżysta zdążył temu przeszkodzić.

Pozostał wszakże Sanczo Pansa, od niego więc oberżysta domagał się pieniędzy.

— Kiedy rycerz nie płaci, to i jego giermek także nie głupi — odburknął hardo Sanczo.

— Ja cię tu nauczę, ty trutniu, obieżyświacie!

— A szukaj sobie pan trutniów i obieżyświatów do nauki — odpowiedział znów Sanczo. — Ja mam swojego pana i jego nauki słucham.

Hałas, sprawiony ich kłótnią, sprowadził na podwórko furmanów.

— O co to wam idzie? — pytali.

— A to ten jegomość nie chce zapłacić za nocleg i jeszcze gada głupstwa — skarżył się oberżysta.

— To my go tutaj nauczymy. Poczekaj

no, kawalerze, zrobimy ci zaraz małą operacyjkę.

Powiedziawszy to, ściągnęli Sanczę z osła, położyli go na grubej płachcie i zaczęli podrzucać do góry. W takiej zabawce można nieledwie wewnętrzności z człowieka wytrząść, cóż dopiero pieniądze. Jednakże Sanczo zaczął się i ani chciał mówić o zapłacie.

Ujehawszy już spory kawałek drogi, Don Kiszot spostrzegł, że towarzysza swego nie ma obok siebie. Zawrócił tedy coprędzej i podjechał do parkanu, okalającego zajazd. Parkan był wysoki. Don Kiszot musiał stanąć na Rosynancie, żeby zobaczyć, co się dzieje. Patrzy — a tu Sanczo fruwa w powietrze wysoko, jak piłka, potem spada i znowu podlatuje.

Don Kiszot był wściekły. Z duszy i serca chciał nieszczęśliwego Sanczę ratować, ale wrota były zamknięte, a świeże potłuczenia zanadto bolesne, żeby rycerz mógł przez parkan przeleźć. Tylko więc gniewne słowa miotał na zbytników, którzy niewiele sobie z tego robili i bardziej jeszcze przeciągali swoją igraszkę. Aż zmęczeni, uwolnili nareszcie zmordowanego Sanczę, wsadzili go na osła i otworzyli mu wrota.

Wyjechał Sanczo, choć potłuczony, ale bardzo kontent, że nie zapłacił. Kontent był i gospodarz, który niepostrzeżenie ściągnął

z osła zawiniątko z zapasami rycerza i jego giermka, był więc aż nadto hojnie zapłacony za nocleg tych obydwu gości.

IX.

DWA WOJSKA.—RYCERZ SMUTNEJ POSTACI.

Jadąc drogą, zauważył Don Kiszot dwa tumany kurzawy.

— To są dwa wojska, które z sobą za chwilę krwawy bój stoczą — objaśnił rycerz giermka.

— Cóż my tam będziemy robili? — spytał zatrwożony Sanczo.

— Rozumie się, że pomożemy słabszemu — odparł waleczny rycerz.

I ażeby dokładniej pole bitwy obejrzeć, obaj z Sanczą wjechali na pagórek.

Don Kiszot rozpoznawał rycerzy, opowiadał giermkowi, z jakich narodów składa się każde wojsko, zwracał jego uwagę na dźwięki trąbek bojowych.

— Panie, widzę tylko dwa stada baranów i słyszę ich beczenie — rzecze Sanczo.

— Nie znasz się na tem — odpowiedział Don Kiszot i nie słuchając perswazji, rwał z kopyta i pędził na najbliższą trzodę, nie żałując włóczni przeciw urojonym rycerzom.

Barany zaczęły uciekać, Don Kiszot zaś

wymyślał im od tchórzów i byłby zapewne pozabijał wszystkie, gdyby pastuchy nie popieszyły z pomocą napastowanym. Zobaczywszy, kto jest przyczyną tego popłochu, każdy z pastuchów schylił się po kamień i tak dobrze utraktowali rycerza, że biedak stracił kilka zębów i nareszcie spadł z konia, pokrwawiony i omdlały.

Rozzłoszczeni pasterze byliby się nad nim znęcali dłużej, ale Sanczo ułagodził ich, płacąc im za szkodę. Na jego szczęście, oberżysta nie zauważył, że Sanczo ma pieniądze i tych mu nie zabrał.

— Mówiłem panu przecież, że to barany — odezwał się giermek do rycerza, kiedy go nareszcie ocucił.

— To ten czarownik złośliwy zamienił wojsko na barany, żeby mię chwały zwycięstwa pozbawić — odpowiedział Don Kiszot, nie chcąc się wyzbyć swego urojenia.

Ze smutkiem pociągnęli w dalszą drogę. Głód ich nękał, a gospody nie spotykali.

Zmrok już zapadał, kiedy dostrzegli długi, podwójny rząd zbliżających się świateł. Były to pochodnie w rękach ludzi, przybranych w białe szaty, jak w koszule. Za nimi szły mary z trumną, a dalej jeźdźcy w czarnych, żałobnych, powłóczystych ubraniach.

Sanczo, który od ostatniej nocy miał głowę nabitą czarami, myślał, że to strachy.

Ale odważny Don Kiszot przeczuwał jakąś wielką przygodę. Sądził on, że wiozą zranionego albo zabitego rycerza, za którym należy się ująć.

Osadził więc konia na drodze, najeżył włócznię i zapytał, kto jest ten wieziony rycerz i jaką krzywdę ucierpiał, bo trzeba, żeby winni byli ukarani.

Gdy żadnej odpowiedzi nie było, Don Kiszot rzucił się na jednego z jeźdźców, zwałił go z konia; widząc to, inni pouciekali, zrzucając po drodze powłóczystą odzież, aby im nie przeszkadzała w biegu.

Wtedy Don Kiszot oparł ostrzem włócznię o pierś leżącego i domagał się objaśnień.

— Jestem kościelny — odrzekł zapytany — nie krzywdź, panie, sługi kościoła. Odprawiamy tego nieboszczyka, szlachcica, na cmentarz.

— Kto go zabił? — zapytał Don Kiszot.

— Bóg sam. Nieboszczyk umarł z silnej gorączki.

— W takim razie jestem uwolniony od karaniania za śmierć jego. Masz o tem wiedzieć, szanowny panie, że jestem sławnym na świat cały rycerzem, Don Kiszotem z Manecy, którego powołaniem jest pomagać uciśnionym i karać przestępstwa.

— Mnie, panie rycerzu, sam ucisnąłeś bez mojej winy.

— Winą twą było, że nie miałem odrazu odpowiedzi na moje zapytanie.

Tymczasem Sanczo Pansa zdążył przenieść dobrze naładowany tłumoczek z żywnością z muła, na którym jechał kościelny, na swojego osła. Don Kiszot przywołał giermka.

— Sanczo, pomóż temu szanownemu panu wsiąść napowrót na muła. Zwołajcie, panie, swoich kolegów i jedźcie spokojnie.

— To nie są moi koledzy, to karawaniarze, rycerzu o smutnej postaci.

— O smutnej postaci? — spytał Don Kiszot.

— A czy można spotkać smutniejszą postać? — rzecze kościelny, sadowiąc się na mule.

Potwierdził to i Sanczo. A Don Kiszotowi tak się podobała nazwa rycerza o smutnej postaci, że postanowił odtąd nazwy tej używać i smutną postać kazać wymalować na swojej tarczy.

X.

MLYNY FOLUSZOWE. — CZARODZIEJSKI
SZYSZAK.

Późnym już rankiem rycerz i jego giermek ukończyli obfite śniadanie z zapasów, któremi Sanczo obłowił się u kościelnego.

Noc spędzili wprawdzie pod gołym niebem, ale w tak pięknej dolinie, że przebyli tam jeszcze jedną dobę, używając wczasu i wypoczynku. Dopiero wieczorem drugiego dnia wyruszyli drogą nierówną i mozolną. Czas jakiś jechali spokojnie, aż doleciał ich wielki szum i hałas, zgrzytanie żelazta i odgłosy jakichś potężnych uderzeń.

Wiatr szumiał pośród liści i huczał dziko w górach. Wszystko to wydawało się tak przerażającym, że giermek drżał na całym ciele.

Ale Don Kiszot pozostał niewzruszonym. Przystosował tarczę i oszczep do boju i rzekł.

— Niebo powołało mnie do wielkich czynów. Ściągnij mocniej popręg na Rosynancie. Oczekuje mnie przygoda straszliwa. Czekaj tu na mnie trzy dni. Jeżeli nie powrócę, to pójdź do Duleynei z Tobozo i powiedz, że jej rycerz śmierć poniósł, spełniając czyny bohaterskie.

Słowa te tak wzruszyły poczciwego Sanczę, że nie mógł przenieść myśli odjazdu rycerza.

Błagał usilnie Don Kiszota, żeby wyprawę swoją odłożył do jutra, żeby się nie puszczał wśród ciemności nocnych, kiedy czary mają największą siłę; przedstawił mu, że po ciemku nikt nawet nie zobaczy odwagi rycerza.

Ale Don Kiszot jak się na co wziął, to trudno mu było wybić z głowy.

— Otóż pojedę — mówił — i czarowników się nie lękam. Pokażę im, co znaczy siła i dzielność rycerskiego ramienia.

Sanczo zaczął poprawiać uprząż na koniu i potajemnie uździenicą osła spętał zadnie nogi Rosynanta.

Don Kiszot umocnił się na koniu, przygotowany do walki zajadłej, wcisnął ostrogi w boki Rosynanta, żeby popędzić cwałem, ale spętany wierzchowiec podskakiwał tylko na miejscu.

— Ot, widzi wielmożny pan, Rosynant już oczarowany. Jeżeliby wielmożny pan pojechał teraz, to i pana oczarowaliby tak samo, żeby się pan z miejsca ruszyć nie mógł. I niech pan pomyśli, jakby się wtenczas pani Dulycynea zmartwiła niepotrzebnie! W dzień pójdzie inaczej i czary nie będą miały takiej siły. Niech mi wielmożny pan choć raz uwierzy. To bardzo zły znak, jeżeli koń z miejsca ruszyć nie chce.

Mówiąc to, Sanczo ciągnął Rosynanta w tył za ogon.

Dał się na koniec Don Kiszot przekonać, gdy widział, że Rosynant, zwykle tak posłuszny, teraz ani kroku porządnego zrobić nie chce; spędził więc noc na koniu, rozmyślając o sławie, jaka go jutro czeka.

Równo z brzaskiem zerwał się giermek, niespokojny o swego pana i widząc go jeszcze na Rosynancie, rozpełtał zwierzę cichaczem.

Koń, czując się swobodnym, dał kilka kroków, żeby rozruszać kości, zdrętwiałe od długiego stania.

— Czary już prysły. Zostań więc, mój wierny Sanczo, ja pojedę, gdzie mnie wzywa ten krzyk.

I pocwałował w stronę, z której dochodził podejrzaný łoskot. Sanczo jakiś czas szedł za nim piechotą, wreszcie przystanął i czekał.

Po dłuższej chwili wraca rycerz, blady ze wstydu.

— To są młyny foluszowe, które tak hałasują—rzekł—ubijają w nich sukno.

— A pan myślał, że to nieszczęśliwi tak pana wzywają na pomoc—i Sanczo, rozweselony, zaczął sobie podżartowywać z rycerza. Don Kiszot jednak nie przyjął dobrze tych drwinek; to też wkrótce Sanczo to poczuł, dostawszy kilka razy oszczepem po karku. Przyrzekł też nigdy nadal nie pozwalać sobie na ośmieszanie swego pana.

Zaraz też puścili się w dalszą drogę i spotkali jeźdźnego, który na głowie miał jakieś przykrycie połyskliwe.

— Oho! już wiem!—zawołał Don Kiszot—

to hełm jednego znakomitego bohatera, hełm czarodziejski, broniący od wszelkich ran. Muszę go zdobyć na tym rycerzu, dosiadającym siwojabłkowego konia.

— Ej, panie, bo znów będzie pomyłka. Siwojabłkowy koń wydaje mi się osłem, a hełm—prostą miedniczką, używaną przez golibrodów.

— Milez, Sanczo, tyle razy ci już mówiłem, że się nie znasz na rzeczach rycerskich.

Giermek miał słuszość. Spotkany jeździec był rzeczywiście golarzem, skrobał brody w dwóch wsiach sąsiednich i teraz właśnie jechał z jednej wsi do drugiej. A że deszcz wisiał w powietrzu, więc żeby nie zamoczyć kapelusza, nakrył sobie głowę miedniczką nową, a zatem błyszczącą i czystą.

Don Kiszot jednak trwał przy swoim urojeniu, natarł na mniemanego rycerza i wkrótce byłby go nadział na włócznię, gdyby tamten nie zeskoczył zwinnie z osła. Przestraszony niespodziewanym napadem, porzucił miedniczkę i osła i pieszo uciekł w zaosła.

Don Kiszot, uradowany, podniósł miedniczkę, ale nie dał się przekonać, że to nie jest urojony hełm.

— Tylko mu przyłbicy braknie—zawołał.— Jakiś cheiwiec odjął ją, żeby szczerze złoto sprzedać. Ale w pierwszej spotkanej kuźni

każę sobie żelazną przyłbicę dorobić. Tymczasem i tak ją włożę na głowę zamiast starego szyszaka, który niemało już ucierpiał w dotychczasowych potyczkach.

— Szczególniej z temi pastuchami—mruknął Sancho.

Na szczęście rycerz zanadto był uradowany zdobyczą, żeby na ten żart zwrócić uwagę.

— To i osła zabierzemy? — rzekł Sancho.

— A, nie godzi się łupić zwyciężonego. Zostaw mu jego konia. Pan jego powróci tu z pewnością.

— Ale na kulbaki mogę się pomieniać. Ta, na której siedział ów rycerz, jest daleko lepsza.

— Możesz się na siodła pomieniać, bo nie czytałem w książkach rycerskich żadnej o tem wzmianki, więc zapewne to nie jest wzbronione.

XI.

Z B R O D N I A R Z E.

Pojechali dalej. Wtem Don Kiszot, zawsze żądny przygód rycerskich, zauważył na drodze dwunastu ludzi okutych w kajdany, których prowadzili dwaj uzbrojeni dozorecy. Wnet rycerz poczuł w sobie chętkę oswo-

dzenia tych ludzi, bo przecie prowadzono ich pomimo ich woli. Spytał więc najpierw, za co mają być karani. Kilku z nich skorzystało z uprzejmego pozwolenia dozorców i opowiedzieli Don Kiszotowi swoje przestępstwa.

— Moi panowie—przemówił Don Kiszot—widzę, że nie bez waszej winy skazano was na karę. Ale bez wątpienia żałujecie za swoje złe postęпки i nadal żyć będziecie cnotliwie. Dlatego też, panowie dozorecy, proszę was, rozkujcie tych ludzi i niech się to wszystko zgodnym sposobem zakończy. Mojem powołaniem, jako błędnego rycerza, jest nieść pomoc uciśnionym, a ci ludzie widocznie cierpią ucisk i nie mają ochoty iść tam, dokąd są prowadzeni.

Dozorecy odmówili temu żądaniu stanowczo.

Rozgniewany tem rycerz, natarł na nich, a zbrodniarze, korzystając z zamieszania, natychmiast zabrali się do zrzucania kajdan. Jakoż, zanim dozorecy dali sobie radę z Don Kiszotem, już kilku z nich było wolnych. Natychmiast rozbroili strażników i zmusili ich do uciezki. Następnie zabrali się do Don Kiszota i jego giermka i ograbili ich do szczętu; nie pozostawili nawet miedniczki czyli mniemanego czarodziejskiego szyszaka, czem najdotkliwszą wyrządzili przykrość rycerzowi.

Ponieważ Don Kiszot nie dał się obrabować dobrowolnie, więc nie obeszło się i bez tęgich guzów.

— Nięwdzięcznicy!—krzyknął Don Kiszot, kiedy już złoczyńcy byli daleko — Jakaż mam naukę, żeby się z prostytutkami nie zadawać!

Ze smutkiem rycerz z giermkim powędrowali w pobliżkie góry, gdzie też znaleźli piękne miejsce na nocleg. Już nie chcieli zejść na ziemię, lecz spali na swoich wierzchołkach, aby być gotowemi na wszelki wypadek.

Jakież było zdumienie i rozpacz Sancza, gdy obudziwszy się nazajutrz, zobaczył, że kalbaka, na której siedzi, jest wsparta na czterech dragach, tkwiących w ziemi, a osła pod nim niema!

Z początku nie wiedział, co to znaczy, ale w końcu domyślił się, że tej podstępnej kradzieży dopuścił się jeden z uwolnionych wczoraj przestępców.

— Uspokój się, Sanczo — mówił Don Kiszot — zamiast zginionego osła, dam ci trzy najlepsze moje oślątka. Napiszę ci upoważnienie, z mocy którego moja gospodyni i moja siostrzenica wydadzą ci te oślęta. Pojedziesz po nie rychło, tylko pierwszej jeszcze musisz ze mną wejść na tę wysoką górę.

Wszedłszy tam, znaleźli jakąś pustelnię

opuszczoną. Don Kiszot, zachwycony, przypomniał sobie zaraz niektóre kawałki ze swoich ksiąg rycerskich i postanowił prowadzić życie pustelnicze. Oddał się zupełnie marzeniom, sam przestał mówić i giermkowi mówić zabronił.

Gadatliwemu Sanczy wnet się to uprzykrzyło; prosił więc swojego pana o zwolnienie go z takiej milczącej służby.

— Odejdiesz, odejdiesz — odrzekł Don Kiszot — ale zanim do mego domu się udasz z upoważnieniem, które ci napiszę, musisz najpierw pojechać do Tobozo, do mojej pięknej Dulcynei. Powiesz jej, że chcę w tem miejscu największem bohaterstwem się wsławić, żeby za przykładem dawnych błędnych rycerzy przekonać ją, jak wielkie są moje uczucia dla niej. Napiszę ci list do pani mego serca, który ją również o tem przekona.

I zaczął wyrabiać takie rozmaite dziwactwa, że Sanczo przyszedł do przekonania, że jego panu do reszty w głowie się pomieszało. Don Kiszot chciał go jeszcze parę dni zatrzymać, żeby się lepiej napatrzył jego życia tutaj, ale Sanczo oświadczył, że widział już dosyć.

W końcu Don Kiszot napisał list do swej Dulcynei, oraz upoważnienie na troje ośląt, i Sanczo ze łzami w oczach pożegnał nareszcie swego pana.

Ponieważ i Rosynant przez ten czas miał być wolny od służby rycerskiej, więc Sancho uzyskał pozwolenie, aby dla pośpiechu pojechać na koniu Don Kiszota.

— Jedź, jedź — powiedział Don Kiszot — i przywieź mi jak najprędzej odpis pięknej Dulecynei.

XII.

WŚRÓD GÓR I SKAŁ.

Sancho Pansa wkrótce przyjechał do gospody, w której niedawno taka go nieprzyjemność spotkała. Żołądek nakłaniał go, żeby tam wstąpił; reszta ciała wszakże odradzała mu to usilnie, bo dotąd jeszcze przypominało mu się, jak podlatywał w górę i spadał.

Kiedy się jeszcze namyślał, co począć, wyszło z oberży dwóch mężczyzn, którzy go zaraz poznali. Jeden z nich był to proboszcz, a drugi cyrulik, ci sami, którzy niedawno taki surowy sąd wydali na książki Don Kiszota. Zawołali go i spytali o pana. Sancho z początku nie odpowiadać nie chciał, ale cyrulik umiał mu usta otworzyć.

— Jeśli nie wyznasz, bratku, gdzie twój pan, to się podasz w podejrzenie, żeś go za-

bił, żeby mu konia ukraść i pójdziesz do więzienia.

— Nie mam czasu tam iść—odparł zastraszony Sancho — więc już wolę wyznać, że pan Don Kiszot jest na górze, która się nazywa Czarną Górą i udaje tam waryata.

Rozgadawszy się, giermek nie zataił żadnej przygody rycerza; nareszcie zaczął opowiadać o liście do Dulecynei, który ma jej doręczyć.

— Pokaż-no ten list — odezwał się proboszcz — bardzo ciekawy jestem, co w nim napisane.

Sancho sięgnął do kieszeni, ale naraz zbladł, zaczął sobie włosy wydzierać i tak się bił sam, jakby także zwarjował.

— Zgubiłem list! zgubiłem wszystko!—krzyczał w niebogłosość.

— Czego desperujesz?—zapytał proboszcz. Rycerz napisze drugi list i Dulecynea dostanie go trochę później. Cóż to szkodzi?

— U mnie w głowie trzy osły, a nie jakaś tam Dulecynea!

— U ciebie w głowie cały tuzin osłów — rzecze cyrulik.

— Nie tuzin, tylko trzy osły, które mi Don Kiszot podarował i zapis dał na nie. Co ja teraz zrobię?!

Proboszcz pocieszał Sancza, że za jego wstawieniem te trzy osły go nie miną. Wte-

dy giermek opowiedział im jeszcze o wyspie, którą Don Kiszot obiecał zdobyć i oddać mu w zarząd.

Słuchając tych wszystkich niedorzeczności, obaj słuchacze naśmieli się setnie i zaprosili go do zajazdu, żeby się z nim naradzić nad sposobami sprowadzenia Don Kiszota. Gdy jednak Sanczo wzbraniał się wejść do oberży, wynieśli nieco ciepłej strawy dla niego i zaraz puścili się w drogę do swej wioski.

Tam cyrulik w sekrecie przed giermkiem namówił siostrzenicę Don Kiszota, żeby się przebrała w aksamitną, trochę wytartą suknię, którą sobie pożyczyła, twarz osłoniła welonem, cyrulik przyprawił sobie piękną czarną brodę i oboje wyprawili się na górę. Proboszcz i Sanczo podążyli za nimi, aby odszukać Don Kiszota i niby przypadkiem spotkali ich w drodze.

Rozmowny Sanczo wnet się dowiedział, że napotkana para usilnie pragnie widzieć się z błędnym rycerzem, gdyż w ważnej sprawie potrzebuje pomocy jego dzielnej szabli.

— To się szczęśliwie składa, bo i my właśnie jedziemy do błędnego rycerza — rzekł Sanczo.

— A jak się nazywa ten rycerz? — zapytała osłonięta panienka.

— Don Kiszot, rycerz o smutnej postaci.

— Och, jak to dobrze! to właśnie ten sam. On mi pomoże odzyskać utracone królestwo.

— Aha, więc nareszcie będę gubernatorem! — pomyślał uradowany Sanczo i dodał głośno.

— Dojeżdżamy do Czarnej Góry, na której teraz mój pan mieszka. Oto właśnie leżą połamane gałęzie, które po drodze rzucałem, żeby trafić, gdy będę wracał. Niech się tu państwo zatrzymają, ja uprzedzę rycerza o waszem przybyciu.

Wkrótce całe towarzystwo otoczyło Don Kiszota, wychudzonego bardziej jeszcze niż zwykle, bo przez parę dni żywił się tylko korzonkami i jagodami, był przytem zmęczony bezsennością, gdyż noce spędzał na rozmyślaniu o pięknej Dulcynei, a także na przypominaniu sobie wszystkich szaleństw, o których czytał niegdyś w swoich książkach.

Osłonięta panienka rzuciła się do stóp rycerza i opowiedziała mu następującą historję.

— Nazywam się królewna Mikomikonu. Moje królestwo Mikomikon jest w krajach murzyńskich. Ojciec mój, Tinacrio, bardzo uczony, przewidział, że wkrótce sam umrze i jego żona, moja matka; ja więc sama, bez opieki zostanę na świecie. O mnie, sierotę, starał się okropny wielkolud, Pandafilando,

zwany Posepnym. A że ja nie chciałam go za męża, więc wpadł z wielkiem wojskiem i zagarnął moje państwo. To wszystko przewidział ojciec mój, Tinacrio mądry. Ale za pomocą swej nauki znalazł też dla mnie środki ratunku.

— Znajdziesz w Hiszpanji, powiedział mi, walecznego rycerza, Don Kiszota, którego uprosisz, żeby Pandafilanda pokonał. Uda mu się to niezawodnie. Wtedy znowu zasiądziesz na tronie. Gdyby ten rycerz chciał się z tobą żenić, to mu nie odmówisz i on będzie królem Mikomikonu, a ty królową.

Don Kiszot chciał zaraz na początku rozmowy podnieść kładącą u nóg jego, ale nie pozwoliła na to, oświadczając, że wstanie wtenczas dopiero, kiedy rycerz o smutnej postaci wysłucha jej prośby i przyrzeknie ją spełnić.

— Chętnie walczyć będę przeciw potwor-nemu Pandafilandowi — rzekł Don Kiszot — ale na małżeństwo z tobą, uroczą królowno, zgodzić się nie mogę, bo sercem mojem włada czarująca Dulcynea z Tobozo.

— Ależ rycerzu — odezwał się Sanczo — Dulcynea jest szkaradna w porównaniu z tą panią. Czy się godzi szczęście odpychać własnemi rękoma?

— Niegodziwcze! niewdzięczniku! — krzyk-

nął Don Kiszot. — O gubernatorstwo ci chodzi. Zrobię cię gubernatorem. Ale zrozumiej, iż miłość dla Dulcynei odziała mnie tą zbroją, podtrzymuje moje męstwo i siłę mojego ramienia. Ażebyś poznał tę siłę i na drugi raz lepiej wiedział, jak mówić o Dulcynei, to masz! masz! masz!

I tak dobrze kilka razy zdzielił Sanczę oszczepem, że biedny giermek upadł. Dopiero królowna Mikomikonu wstawiła się, uspokoiła rozsierdzonego Don Kiszota i tak dalej mówiła.

— Przyjechałam do Hiszpanji z mnóstwem dworzan i znacznemi pieniędzmi. Ale na drodze napadli nas rozbójnicy, kilku dworzan mi zabili, innych poranili i porozpezdali, pieniądze, drogie kamienie i inne kosztowności mi zabrali. Później dopiero dowiedziałam się, że to byli kryminaliści, prowadzeni z wyroku sądu do więzienia i w drodze uwolnieni przez jakiegoś rycerza, który był chyba takim samym zbrodniarzem, jak oni, albo warjatem.

— A to mój pan ich uwolnił — zawołał Sanczo.

— Milez, mówiłem ci! — krzyknął znowu Don Kiszot. — Ci ludzie byli uciskani, a obowiązkiem jest błędnego rycerza bronić uciskanych. Słucham cię dalej, królowno, przeprasząc za mojego giermka.

Mniemana królowna Mikomikonu dowiedziała się o przygodzie z kryminalistami od proboczeza i cyrulika, im zaś opowiedział o niej Sanczo Pansa. Będąc wesołą i dowcipną, skorzystała z tej wiadomości, żeby rycerza kłopotu nabawić i ubawiła się, słysząc, jak wytłómaczył swój postępek. Żart swój posunęła jeszcze dalej.

— Może tu zachodzi pomyłka—powiedziała—może pan nie jesteś tym samym, do którego się wybrałam z takim niebezpieczeństwem. Ojciec mój powiedział, że rycerz, który ma mnie ocalić, łatwy jest do poznania po brodawce, którą ma na prawej łopatece i z której wyrasta pęk szczeciny jakby u dzika.

— To właśnie tylko mój pan—zawołał Sanczo—ma brodawkę na lewej łopatece.

Don Kiszot już chciał się rozdziewać, żeby obecni mogli sprawdzić tę ważną okoliczność, ale królowna Mikomikonu powiedziała.

— Nie zadawaj sobie trudu, szlachetny rycerzu. Wystarcza mi świadectwo tego poczciwego człowieka i tożsamość imienia i stanu. Więc zwyciężysz, nieustraszony rycerzu, wielkoluda Pandafilando? O, dzięki ci stokrotnie!

Chciała Don Kiszota pocałować w rękę, ale grzeczny rycerz nie pozwolił na to i sam jej rękę ucałował. Zaraz też wszyscy wyru-

szyli w drogę. Królownie, rycerzowi i giermkowi pilno było do krajów murzyńskich, a proboszcz śpieszył z powrotem do domu.

Wypadek zrządził, że osieł, na którego wsiadł cyrulik, zaczął wierzgać i zrzucił swego jeźdźca na ziemię, przy czym odczepiła się fałszywa broda. Cyrulik ukrył twarz, ażeby nie być poznanym i zaczął głośno jęczeć.

— Nieszczęśliwy, utracił dolną szczękę! — zawołał z ubolewaniem Don Kiszot.

Przytomna królowna Mikomikonu żywo poskoczyła, wyjęła z kieszeni jakąś masę niby, szeptała niezrozumiałe zaklęcia i brodę przyczepiła napowrót.

— Mądra córka mądrego ojca — zauważył Sanczo. — Jakże nam się przyda pomoc takiej królowny w naszym błędnym rycerstwie!

Droga do królestwa Mikomikonu prowadziła jakoś koło znajomej nam oberży, a że już się miało ku wieczorowi i Don Kiszot był senny, więc postanowiono tam przenoćować.

XIII.

DON KISZOT ZABIJA WIELKOLUDA.

Jeszcze nim do gospody przybyli, napotkali na drodze człowieka, jadącego na osła.

Poskoczył Sanczo ku jadącemu i zawołał:

— To mój Bury! poznaję go! Hej! oddaj mi mojego Burka!

W samej rzeczy poznał w jadącym jednego z tych zbrodniarzy, których był uwolnił Don Kiszot, a jego wierzchowiec był to istotnie osielek, tak zręcznie skradziony mu wtedy, kiedy spał.

Bojąc się walki z tak licznym towarzystwem, złodziej zeskoczył śpiesznie z osła i ukrył się w pobliskich zaroślach. Nie szukał go Sanczo, uszczęśliwiony znalezieniem swego Burka. Pieścił i całował osła, który pozwolił na te czułości, ale sam ani jednym słowem nie powitał dawnego pana.

Nieco dalej szedł drogą chłopak oberwany i zgłodniały. Zbliżył się, żeby prosić jadących państwa o wsparcie. Dał mu zaraz Sanczo kawałek chleba i sera, które też chłopak zjadł, lecz wskazując na Don Kiszota, odezwał się.

— To ten pan jest sprawcą mojego nieszczęścia.

— Jakim sposobem? — zapytał zdziwiony rycerz.

— Pamięta pan, jak to mnie w lesie bił mój gospodarz, a pan mu kazał przestać i zapłacić mi należność?

— Pamiętam. Zapłacił ci?

— Oj! zapłacił rzemiennymi pieniędzmi. Zbił mnie na leśne jabłko i wypędził od siebie. Teraz tułam się, szukając nowej służby.

— A łotr! znajdę ja go i pokażę mu, co to znaczy nie dotrzymać słowa. Pamiętaj, gdyby cię w nowej służbie krzywdzono...

— Mój drogi panie, gdyby mi krzywda była na nowej służbie, to już niech się pan do tego nie miesza, bo znowu z tego taki smutny koniec będzie.

— Ty nicponiu, jak śmiesz...

Don Kiszot zamierzył się zdzią, ale chłopiec dał drapaką, aż się za nim zakurzyło.

Po tyłu tarapatach, rycerz z przyjemnością udał się do oberży na spoczynek. Proboszcz wpłynął na oberżystę, aby dla wszystkich gości był uprzejmy; a dla Don Kiszota i jego giermka przysposobił mieszkanie na strychu. Obaj też, przekąsiwszy trochę, zaraz tam poszli, kiedy reszta towarzystwa pozostała jeszcze na dole i naradzała się nad tem, jakby królownę Mikomikonu oswobodzić od rycerza, jego zaś samego ściągnąć do domu.

Gdy byli zajęci tak ważną sprawą, nagle nad pułapem rozległy się krzyki i łomota-

nia. Do izby wpadł Sancho Pansa i obwieścił, że pan jego uciał głowę wielkoludowi.

— Mam przecucie, że tam się coś złego stało — zawołał oberżysta, chwycił latarkę i pomimo okazałego swego brzuszka, klusem pobiegł na górę.

Wszyscy inni poszli za nim i ujrzeni, jak Don Kiszot, mając oczy zamknięte, najwyraźniej przez sen rąbał mieczem naokoło siebie, gospodarz zaś krzyczał, okładając go pięściami po bokach.

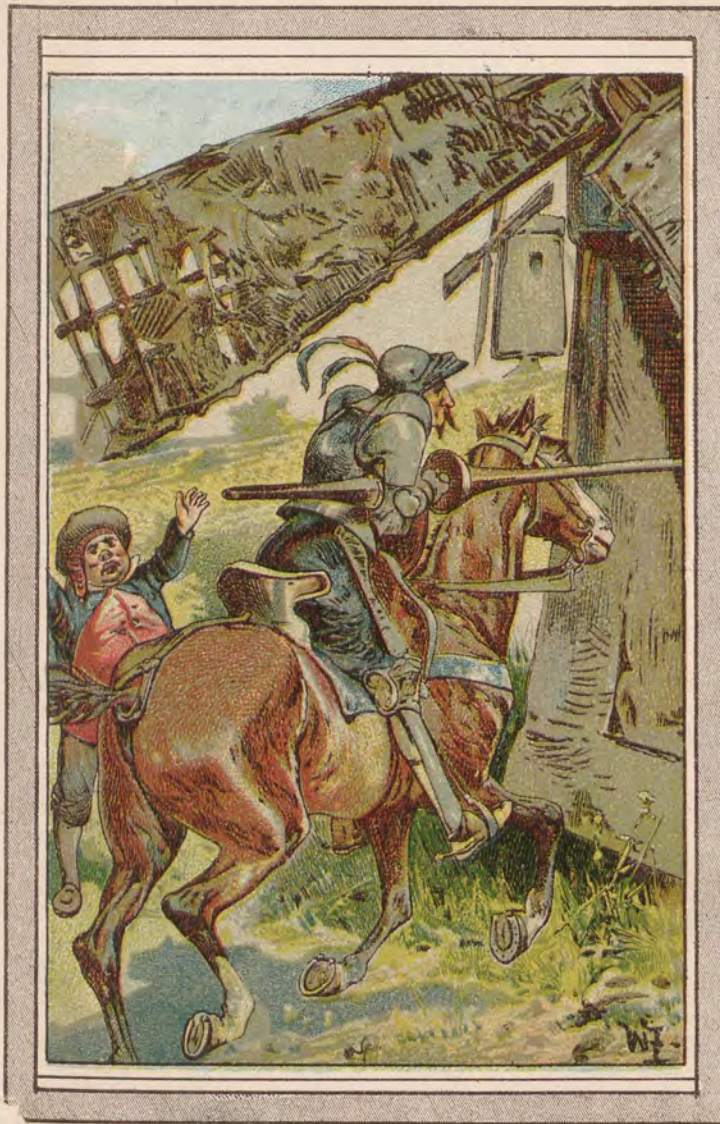
Cyrulik widział, że Don Kiszot śpi, choć takie wały dostaje, czempredziej więc przyniósł wiadro wody zimnej i wylał na rycerza. Don Kiszot ocknął się wtenczas i powiedział.

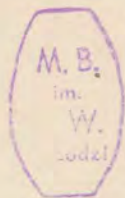
— Bądź spokojną, królewno, rozsiekleń wielkoluda Pandafilanda.

— O, ile tu krwi wyciekło! — wtrącił Sancho, wskazując czerwony płyn, kałużami stojący na polepie.—Sam widziałem, jak spadała wielkoludowi głowa z karku.

— Niegodziwcy!—wołał wzburzony gospodarz — to moje czerwone wino zostało wylane ze skórzanych bukłaków!

Naśmiali się towarzysze rycerza z tego urojenia jego i giermka; gospodarz tylko piorunował i wymyślał, ile mu sił starczyło. Ledwie go proboszcz uspokoił zapewnieniem, że mu za tę szkodę zapłaci. Ułożono napo-





wrót do snu rycerza i giermka, uszczęśliwionych ze zwycięstwa nad wielkoludem. Don Kiszot i Sanczo nie uwierzyli, jakoby czerwony płyn był winem.

— To czary sprawiły—mówił Don Kiszot— że tułów i głowa zrabanego wielkoluda gdzieś znikły i że krew jego ma zapach i smak czerwonego wina.

Królowna Mikomikonu odjechała natychmiast, prosząc, żeby podziękowano Don Kiszotowi za zgładzenie Pandafilanda, który aż w tym zajeździe ją ścigał.

Powrócił też i proboszcz do swojej plebanji, a cyrulik, zawsze wystrojony w piękną, czarną brodę, wynajął wóz w rodzaju kojca do przewożenia baranów, przy pomocy gospodarza i jego parobka przeniósł śpiącego jeszcze Don Kiszota do wozu i zamknął go w nim; następnie rozbudził Sanczę i tak wyruszyli z powrotem do domu.

Kiedy Don Kiszot późnym rankiem oczy otworzył, nie mógł pojąć, co się z nim dzieje. Dopiero towarzysz królowny Mikomikonu powiedział mu, że skutkiem śmierci Pandafilanda, ona, oswobodzona, odjechała drogą powietrzną do swego królestwa, że i on sam wkrótce za nią podąży; ale że krew wielkoluda rzuciła urok na Don Kiszota, musi więc rycerz tymczasowo jechać na takim wózku.

Uspokoilo to Don Kiszota, który w tem zdarzeniu wiele okazał cierpliwości, pewnym będąc, że przeciw czarom bezsilny byłby jego gniew i nieprzydatna jego waleczność.

Nieopodal wioski zatrzymali się; Sanczo wydobył posiłek, Rosynantowi i osielkowi dano trochę paszy. Nagle czarnobrody towarzysz gdzieś zniknął.

Kiedy na niego dłuższą chwilę daremnie czekano, Sanczo zaczął przekonywać swego pana, że to nie żadne czary, tylko jakaś psota i że on poznał, iż czarnobrody był to przebrany cyrulik z ich wioski.

— Powiedz mi, mój Sanczo, kiedy tak wszystko wiesz dokładnie, skąd się wzięła królewna Mikomikonu?

Tak zagadnięty giermek tylko się w głowę podrapał z zakłopotania; niebawem ruszyli w dalszą drogę.

Okolo południa stanął Rosynant przed domem swego pana. Dzień był targowy i po ulicach kręciło się mnóstwo ludzi. Tłumy więc otoczyły rycerza, jadącego w takiej dziwnej karecie. Gospodyni Don Kiszota i jego siostrzenica nie mogły wstrzymać łez na widok pośmiewiska, które cierpiał Don Kiszot; wydobyły go więc z kojca i położyły do łóżka.

Proboszcz pocieszał je, przekładając, że to

gorzkie lekarstwo może wypłoszy z głowy Don Kiszota rojenia o błędnem rycerstwie.

XIV.

DULCYNEA Z TOBOZO.

Kilka tygodni przebył Don Kiszot w zupełnym spokoju. Otaczający wystrzegali się wszelkiego wspomnienia o przygodach rycerskich, żeby go na pokuszenie nie wwozdzic. Zdawało się, że szaleństwa wywietrzały mu z głowy. Aż razu pewnego rozmowa z proboszczem o spodziewanej wojnie podnieciła w nim znowu chęć przygód.

Siostrzenica usiłowała go przekonać, że powinien pilnować gospodarstwa. On jej odpowiedział:

— Błędnym rycerzem chęć być, jako błędny rycerz żyć i jako błędny rycerz umierać. Nie mię od tego nie wstrzyma.

Zapał jego wzmógł się bardziej jeszcze, kiedy w podarku dostał jakiś stary szyszak. Do włóczęgi tęsknił także i Sanczo Pansa który nie mógł zapomnieć obiecane mu gubernatorstwa. Obaj tedy uradzili nową wyprawę, którą Don Kiszot postanowił rozpocząć od wyszukania Dulcynei z Tobozo i oświadczenia jej swych uczuć.

Sanczo przyznał mu się, że list do Dulcynei zgubił. Opowiadając o tem, był przygotowany, że rycerz wielkim gniewem wybuchnie. Tymczasem stało się przeciwnie. Don Kiszot pochwalił swego giermka za prawdomówność i powiedział mu, że oba swoje pisma znalazł wówczas na miejscu po wyjeździe Sanczy z Czarnej Góry.

Tym razem, pomimo próśb i lez siostrzenicy, wstrzymującej go, Don Kiszot z giermkim wyjechał z domu nocą i niezadługo przybył do Tobozo. Rycerz chciał zaraz odszukać pałac, w którym mieszka Dulcynea, Sanczo tłumaczył mu, że w Tobozo żadnego pałacu niema i tak, swarząc się, spędzili noc całą na wałęsaniu się.

Przed wschodem słońca odezwał się Sanczo.

— Pozwól mi, wielmożny panie, szukać samemu, a pan niech się dobrze ukryje, żeby pana nikt nie widział.

Trafiło to rycerzowi do przekonania. Wyjechali więc ze wsi; Don Kiszot ukrył się w krzakach i wkrótce zasnął. Sanczo Pansa odjechał na taką odległość, żeby go pan nie widział, położył się również wygodnie na murawie i odpoczywał aż do południa. Tu miał dosyć czasu do rozważenia, co począć w tym wypadku i jak ową Dulcyneę znaleźć.

— Nie głupim ja — myślał sobie — szukać

jej w pałacach, których tu niema wcale. Mój pan ma ćwieczka w głowie, chociaż taki mądry i takie grube książki czytał. Nieraz w siebie wmawia to, czego niema, bierze barany za wojsko, wiatraki za wielkoludów. Cyrulik wpakował go do kojca i wmówił w niego zaczarowanie. I mnie teraz uda się moja sztuka z pewnością.

Tak uspokojony, leżał czas jakiś, aż spostrzegł zdaleka trzy wieśniaczki na murach. Zerwał się, wskoczył na osła i popędził do swego pana, którego zastał już siedzącego na Rosynancie i zlorzczącego giermkowi za zbyt długie szukanie.

— Wielmożny rycerzu — tłumaczył się giermek — piękna Dulcynea, ślicznie wystrojona, konno zbliża się z dwiema towarzyszkami. Wszystkie trzy jadą na wspaniałych koniach, ale rumak panny Dulcynei jest najpiękniejszy.

— Jedźmy naprzeciw niej! — zawołał Don Kiszot i ubódł Rosynanta ostrogami.

Tylko co wydobyli się z gęstwiny leśnej na równą drogę, kiedy już ujrzeni wspomniane trzy dziewczki. Don Kiszot wcale nie zwracał na nie uwagi, tylko spoglądał daleku do Tobozo i zaczynał się niecierpliwić. Ale Sanczo przedstawił mu, że to właśnie są oczekiwane panny, na ognistych wierzchowcach jadące. Sam zlął z osła, padł przed

jedną z nich na kolana i przemówił w te słowa.

— Dostojna i szlachetna księżniczko, królowo piękności, racz powitać twego rycerza, który stoi oczarowany twoim widokiem. Ja jestem jego giermek, Sanczo Pansa, on zaś jest sławny na świat cały bohater, Don Kiszot z Manczy, rycerz o smutnej postaci.

Ukląkł i Don Kiszot obok swego giermka, lecz słów nie mógł znaleźć. Widział przed sobą brzydką dziewczkę z szeroką gębą i płaską twarzą. To chyba musiały być czary!

Dziewczyny także spoglądały zdumione. Oprzytomniała najpierw mniemana Dulcynea i zawołała.

— Ustąpcie! Nie mamy czasu na błazeństwo!

— O najcudniejsza księżniczko z Tobozo— rzekł Sanczo Pansa — czy serca twego nie wzrusza widok cierpień twego rycerza?

— Głupcy! przepuście nas! a do strojenia żartów szukajcie sobie kogo innego.

Don Kiszot był przekonany, że złośliwy czarownik przemienił tak haniebnie uroczą piękność i że nad jego głową zła jakaś gwiazda świeci. Stracił panowanie nad sobą, schwycił muła za uzdę i czule błagał o przyjazne spojrzenie.

— Z drogi, stary głupcze! — krzyknęła znów Dulcynea, rozgniewana natrętną za-

czepką i popędziła dalej ze swemi towarzyszami.

Bardzo zmartwiony tem nowem strapieniem, zesłanem przez złośliwego czarownika, Don Kiszot odjechał do znacznego miasta hiszpańskiego, Saragossy, wraz ze swoim giermkim, pewny, że jego cierpliwość i waleczność wezmą nareszcie górę nad przewrotnością czarownika.

XV.

KOMEDJANCI.

Don Kiszot jechał, zadumany głęboko, Sanczo Pansa wielkie czuł zadowolenie, że mu się tak dobrze ze znalezieniem Dulcynei powiodło. Spoglądał wesoło dokoła siebie, lecz nagle zasepił się, gdyż zoczył nowe niebezpieczeństwo. Na wozie jechała śmierć, obok niej anioł z pięknymi skrzydłami, cesarz w złotej koronie na głowie, bożek miłości skrzydlaty z łukiem i strzałami, rycerz w zbroi i rozmaite inne postacie w dziwnych ubiorach, sam zaś djabeł kierował mułami.

— Kogo to wiesz, djable? Co to są za ludzie?—spytał Don Kiszot woźnicy.

— My jesteśmy biedni komedjanci, łaska-

wy panie—odrzekł spokojnie djabeł—jedziemy dać przedstawienie w pobliskiej wiosce i poprzebieraliśmy się, żeby zachęcić publiczność do przyścia na przedstawienie.

W pewnej odległości za wozem szedł należący do tych samych aktorów błazen w pstrokatej odzieży. Trzymał on laskę z uwiązaniem na końcu trzema rozdętymi pęcherzami, w których były ziarnka grochu. Spostrzegłszy rycerza, zaczął potrząsać owemi grzechoczącymi pęcherzami, wyprawiając zarazem takie skoki, że wszystkie dzwonki, przyczepione do jego błazeńskiej czapki, brzęczały.

Rosynant, spłoszony hałasem i widokiem cudacznych postaci, zaczął ponosić. Widząc, w jakich opalach pan jego się znajduje, Sanczo Pansa zeskoczył z osła i pobiegł na pomoc. Ale zanim przybiegł, już Rosynantowi nogi się splątały, padł i jeźdźca swego zrzucił na ziemię.

W tejże chwili błazen wskoczył na Sanczowego osła, uderzył go pęcherzami koło uszów, nastraszył i zmusił do cwałowania.

Sanczo był w przykrem położeniu. W którą stronę ma się zwrócić? Pierwszy obowiązek wołał go do pana, leżącego bezwładnie; ale serce mu krwawił widok Burego, dręczonego niemiłosiernie i oddalającego się z pospiechem.

— Djabeł schwycił mojego osła! — wołał do Don Kiszota.

— Ja ci go zdobędę napowrót — odrzekł rycerz z powagą.

Ale Sanczo spostrzegł, że osieł, już uwolniony, sam do niego wraca; starał się tedy uspokoić swego pana. Nie zważał rozniewniony rycerz na słowa giermka i dosiadłszy konia, podążył za wozem, wydając okrzyki wojenne i potrząsając oszczepem.

Komedjanci nie siedzieli bezczynnie. Słyszając pogróżki rycerza, zeskoczyli z wozu, pochwytali kamienie i rozsypali się wzdłuż drogi, gotowi gęstym gradem zasypać napastnika.

— Panie, ostrożnie, bo ani tarcza, ani hełm nie pomogą—przedstawiał Sanczo.

— Ja ich wszystkich nauczę—wołał zapalczywy rycerz.

— Przecież to nie rycerze — zauważył Sanczo.

— Masz słuszność, z takim gminem bić się nie warto — odpowiedział Don Kiszot i spokojnie zawrócił Rosynanta.

XVI.

RYCERZ ZWIERCIADLANY.

Obaj ułożyli się na murawie i czas jakiś przeleżeli spokojnie. Drzemkę ich przerwało przybycie dwóch jeźdźców, z których jeden wyglądał także na błędnego rycerza, drugi na jego giermka.

Don Kiszot zaczął z Sanczem gwarzyć półgłosem, czyniąc spostrzeżenia i uwagi nad nieznanymi. Obcy rycerz dosłyszał ich rozmowę i zapytał.

— Kto panowie jesteście?

Niebawem zbliżyli się rycerz do rycerza i giermek do giermka.

Sanczo żalił się przed swoim kolegą na nieznośne pragnienie. Tamten wydobyl zaraz wino i Sanczo uraczył się porządnie. Poczem dwaj giermkowie zasnęli spokojnie.

Nieznajomy rycerz zachwalał przed Don Kiszotem piękność swej pani, opowiadał, że za tę piękność walczył już wielokrotnie i zawsze zwycięsko. Chęcił się szczególnie pokonaniem sławnego rycerza, Don Kiszota z Manczy, którego jakoby z siodła wysadził i zmusił do przyznania, że Dulcynea pod względem urody ustępuje dużo jego ukochanej.

Oburzony Don Kiszot zawołał.

— Kłamiesz, rycerzu! Ja właśnie jestem Don Kiszotem z Manczy i nigdy dotąd nietylko z panem nie walczyłem, ale nawet o panu nie słyszałem. A jeśli pan czujesz w sobie tyle odwagi do boju, ile do samochwalstwa, to zaraz możemy się zmierzyć.

Nieznajomy odpowiedział zimno.

— Jeżeli jeden z was dwóch jest prawdziwym Don Kiszotem, to drugi mnie oszukał. Tak czy owak, do potyczki jestem gotów, ale w biały dzień. Po nocy biją się tylko rabusie i lotrzyki. Poczekajmy, aż słońce wzejdzie, a wtedy stanę do rozprawy.

Kiedy się rozwidniło, obudzili rycerze giermków, żeby im posiadali konie. Usłyszawszy o pojedynku, obaj giermkowie wpadli w wielki zapal i nasrożyli się jeden na drugiego, zamierzając także bić się z sobą. Sanczo wszakże zrobił rozsądną uwagę, że lepiej się pogodzić, to żaden z nich nie oberwie guza. Więc obydwaj postanowili przyglądać się spokojnie utarczce swoich panów.

Ptaszki świegotały wesoło, brzask poranny zaróżowił i ozłocił białe obłoczki, jasność dzienna oblewała wszystkie przedmioty. Któż jednak opisze przestach Sanczy, kiedy ujrzał, że jego kolega ma nos tak wielki, jakiego żaden Pansa nigdy w życiu nie widział: zakrzywiony, jak u ptaka drapieżnego,

i mieniający się wszystkimi kolorami tęczy. Z takim nosaczem nie odważyłby się on stanąć do bitwy nawet za skarby świata.

Przeciwnik Don Kiszota był to mężczyzna rosły, dobrze zbudowany, w świetnej zbroi, wyszytej mnóstwem lusterek, mających kształt półksiężyców. Od tych lusterek właśnie nazywał się sam rycerzem Zwierciadlanym. Słowem był to wojownik nielada. Tylko jego człapak nie mógłby się mierzyć co do siły nawet z Rosynantem.

Teraz i Don Kiszot zauważył nadzwyczajny nos obcego giermka. Sanczo, widząc zdumienie swego pana, prosił o podsadzenie go na drzewo, gdyż bał się zostać na ziemi w pobliżu takiego dwiwoląga, zwłaszcza, że za chwilę rycerz miał być zajęty walką. Dobry Don Kiszot nie odmówił giermkowi tej posługi, a następnie zatoczył koniem na spotkanie rycerza Zwierciadlanego.

Ten daremnie przynaglał swego konia do biegu. Szkapina jak stanęła, tak z miejsca ruszyć się nie chciała. Don Kiszot już wpada z nastawioną włócznią, a rycerz Zwierciadlany, zakłopotany swoim koniem, nawet nie myśli o tem, żeby się osłonić. Potężne uderzenie włócznią wprawdzie go nie przebiło, bo zbroja żelazna była za twarda dla oszczepu Don Kiszotowego; ale go wysadziło z siodła tak gwałtownie i niespodziewa-

nie, że rycerz Zwierciadlany padł na ziemię prawie bez duszy.

Rycerz o smutnej postaci nie widział dotąd twarzy swego przeciwnika, osłoniętej przyłbicą. Odniosłszy zwycięstwo, zeskoczył z Rosynanta, nachylił się i odpiął leżącemu szyszak, ażeby się przekonać, czy jeszcze żyje. Zaledwie jednak podniósł przyłbicę, cofnął się i krzyknął z przestachu. Ujrzał twarz swego dawnego przyjaciela, tego właśnie, od którego dostał w podarunku hełm przed ostatnią wyprawą. Ów przyjaciel nazywał się Samson Karasko. Zamiarem jego było zwalczyć Don Kiszota i wymódz na nim obietnicę, że przez czas dłuższy pozostanie w domu i zaniecha błędnego rycerstwa.

Inaczej wytłómaczył to sobie Don Kiszot. Własnym oczom nie wierząc, był przekonany, że to znowu sprawka złośliwego czarownika, który zwyciężonego rycerza Zwierciadlanego zamienił w Samsona Karaskę, żeby chwałę Don Kiszota umniejszyć.

Jednocześnie nastąpiła druga zamiana. Giermkowi obcemu znikł ogromny nos i Sanczo poznał w nim swego kuma, Tomasza Cecjale, który wstawiał się za swoim panem, żeby mu nie czyniono krzywdy, bo to prawdę jest Samson Karasko.

Po chwili zemdlony wrócił do przytomności i otworzył oczy.

— Przyznaj, rycerzu — zagrział Don Kiszot — że Dulcynea z Tobozo jest największą pięknoscią na świecie i o wiele przewyższa wdziękami twoją uwielbianą.

— Przyznaję, co tylko chcecie, moja nie warta jest rozwiązać rzemyka u trzewików Dulcynei, ale teraz mi pomóżcie.

Don Kiszot, zadowolony, schował wydobyty już miecz do pochwy, pomógł leżącemu wstać i dosiąść konia, poczem rozjechali się, każdy w swoją stronę. Giermkowie oczywiście towarzyszyli swym panom. Teraz Karasko miał nos tak zwieszony, jak przedtem wydłużył się przyprawny nos Ceczala. Myślał, że dzięki swej sile zwycięży łatwo rycerza o smutnej postaci, a tu lichy koń naraził go na sromotną klęskę.

— Co się odwlecze, to nie uciecze — powiedział nareszcie do Ceczala, który żartował z jego smutnej wyprawy. — Póty pies nie nauczy się pływać, póki mu się w uszy wody nie naleje. Na drugi raz wezmę się lepiej do kochanego Don Kiszota. Zobaczemy, czyje będzie na wierzchu.

XVII.

STRASZNA PRZYGODA ZE LWAMI.

W kilka dni potem ujrzał Sanczo nieopodal gościńca liczną trzodę owiec. Przyszła mu teraz wielka chętka napić się mleka, zwrócił się tedy do pasterzy. Gorąco było dnia tego, pomimo że chmurki zacięniały słońce i Don Kiszot jechał z gołą głową, oddawszy hełm swemu giermkowi, który go przyczepił do guzika. Sanczo kupił za kilka groszy owczego mleka, którym się orzeźwił, i twarogu świeżego, który włożył do szyszaka swego pana. Już miał się zabrać do spożycia tego przysmaku, kiedy Don Kiszot zawołał.

— Daj zaraz szyszak. Wielka przygoda nas czeka. Czy widzisz tę chorągiewkę?

To mówiąc, wskazał Sanczy zbliżający się wóz, ozdobiony chorągiewką królewską. Nałożył więc sobie hełm na głowę. Nagle zaémily się oczy rycerza, nie pomogło i obcieranie. Serwatka z twarogu zalewała mu twarz i brodę. Don Kiszot zmieszał się.

— Sanczo, co to jest? — zapytał — zdaje mi się, że mózg w mojej głowie topnieje i że tracę zmysły. Daj mi co do obtarcia potu. Nie nie mogę zobaczyć.

Giermek podał mu chustkę, zadowolony, że rycerz nie domyśla się prawdziwej przyczyny tego zbyt obfitego potnienia. Wkrótce wszakże zauważył Don Kiszot, że hełm inaczej dziś niż zwykle na głowie mu leży, zdjął go, a spostrzegłszy twaróg, rozgniewał się mocno.

— Niegodziwy zdrajco! — zawołał — serem będziesz mi szyszak napychał?

Sanczo stropił się na razie, wnet wszakże do głowy mu strzelił concept.

— Widzę — rzekł — że i mnie czarownik zaczyna prześladować, aby mnie pozbawić łaski mego pana. Ale wielmożny pan jest od niego mądrzejszy. Wielmożny pan dobrze wie, że ja wołałbym twarogiem napełnić mój brzuch, aniżeli hełm, który sera wcale nie jest głodny.

— To prawda — przyznał ułagodzony rycerz, oczyścił twarz, wytrząsnął twaróg z szyszaka, utwierdził się na siodle i gotów do boju, z wysuniętym oszczepem, zawołał.

— Niech się zbliży, kto chce. Czuję w sobie taką odwagę i siłę, że zmierzyłbym się nawet z djabelem!

Wózek z powiewającą chorągiewką, ciągniony przez muły, przybliżył się zwolna. Kierował nim jeden człowiek.

Don Kiszot stanął na drodze i wykrzyknął.

— Kto jesteście? Dokąd jedziecie? Co to

jest za wóz i co znaczy chorągiewka na nim?

— Wóz jest mój — odparł zapytany człowiek — wiozę w nim dwa ogromne lwy, które namiestnik orański posyła królowi w podarunku. Chorągiewka królewska oznacza, że to własność króla.

— Czy te lwy są duże i mocne?

— Jużci namiestnik nie wystąpiłby z lichym podarkiem. Tak wielkich i silnych lwów jeszcze nie było w Hiszpanji. Znam się na tem, bo z zawodu jestem dozorcą dzikich zwierząt i już niejedną bestję okrutną widziałem. Ale muszę pośpieszać, bo lwy są głodne i trzeba je nakarmić, więc niech pan ustąpi z drogi.

— Co? Ja miałbym ustępować z drogi przed jakimiś marnymi lwami? To mię źle znacie. Jestem Don Kiszot z Manczy. Otwórzcie klatkę, a pokażę tym lwom, kto przed kim z drogi schodzić powinien. Tu na otwartym polu będę z niemi walczyć. Dalej, uwolnijcie te bestje naprzekór czarownikom, którzy mi lwami drogę zagradzają.

Sanczo umierał ze strachu. Dozorca lwów i człowiek jakiś, który tamtędy właśnie podówczas przechodził, odwodzili Don Kiszota od tego szaleństwa. Rycerz wszakże obstawał przy swoim żądaniu i groził dozorcę, że go przebiję oszczepem, jeśli klatki zaraz nie otworzy.

— Przed siłą trzeba ustąpić—rzekł dozorca.—Biorę wszystkich tu obecnych za świadków, że nie dobrowolnie ryzykuję własność królewską. Usuńcie się wszyscy opodal; ja wprzód odprzegnę i odprowadzę swoje muły, żeby ich lwy nie rozszarpały, gdy klatkę otworzę.

Sanczo Pansa błagał raz jeszcze ze łzami w oczach swego pana o zaniechanie takiej okropnej walki. Don Kiszot jednak uparł się. Dał mu tylko ostatnie zlecenie do Dulcyniei z Tobozo na wypadek, gdyby potyczka wzięła dla rycerza niepomyślny obrót, i kazał mu się usunąć.

Nareszcie dozorca uczynił zadość natarczywym żądaniom Don Kiszota i otworzył klatkę.

Don Kiszot zeskokczył z Rosynanta, bo nie był pewny, czy wierzchowcowi starczy odwagi na taką wyprawę, osłonił pierś tarczą i dobywszy miecza, stanął przed otwartą klatką.

Lew był istotnie ogromny. Stanął w klatce, wyciągnął się, żeby rozprostować kości, otworzył szeroko straszliwą paszczękę i ziewnął. Potem wysunął język czerwony jak krew, polizął swoje przednie łapy, znowu podniósł kudłaty łeb, grzywą potrząsnął i zatoczył dokoła płomienistemi oczyma.

Don Kiszot przyglądał się bacznie i bez trwogi.

Lew popatrzył również na swego przeciwnika, potem odwrócił się do niego tyłem i znowu się położył.

— Wypędźcie go z klatki! — zawołał Don Kiszot.—Nie odejdę, dopóki nie wyjdzie!

— Tego nie zrobię—odparł dozorca—lew rozszarpałby mnie pierwszego! Poprzestań, rycerzu, na tem, że się odważyłeś, na co by nikt inny się nie odważył. Nie trzeba dwa razy losu kusić. Sława pańska urosła, waleczności swojej pan dowiodłeś. Kiedy przeciwnik odwraca się od walki, to sam uznaje swoją niższość. Pan jesteś zwycięzcą.

— To prawda—potwierdził Don Kiszot.—Więc proszę zamknąć klatkę i dać mi na piśmie poświadczenie mego czynu.

Zawołał giermka i owego przechodnia, którzy oglądali rycerza i zdumiewali się, że wyszedł bez szwanku z takiego niebezpieczeństwa. Dozorca napisał Don Kiszotowi żądane świadectwo niezrównanej odwagi i waleczności, poczem zaprzął muły napowrót do wozu.

Don Kiszot dał mu parę sztuk złotych pieniędzy za stratę czasu, a dozorca oświadczył, że całemu światu opowiadać będzie o tej przygodzie. Niech wszyscy wiedzą, że najsilniejszy lew na sam widok rycerza wtulił się w najdalszy kąt swej klatki i że tylko wobec usilnych nalegań, żeby zwierzęcia

bardziej nie drażnić i własności królewskiej na uszczerbek nie wystawiać, Don Kiszot pozwolił zamknąć klatkę napowrót. Wieść o tym postępku dojdzie wnet do króla.

Don Kiszotowi pochlebily bardzo te chwalebny. Postanowił przybrać odtąd nazwę rycerza Lwiego, zamiast rycerza o smutnej postaci.

Tak rozstali się ku ogólnemu zadowoleniu.

XVIII.

PIECZARA MONTEZYNOS I PRZYGODA Z LALKAMI.

W dalszej drodze Don Kiszot i Sanczo Pansa napotkali studenta i dowiedzieli się od niego, że mało co zbaczając, mogą zobaczyć pieczarę Montezynos.

— Cóż tam jest w tej pieczarze?—zapytał Don Kiszot.

— Nikt w niej nie był—odpowiedział student — ale właśnie dlatego dziwy o niej prawią.

— Nikt w niej nie był? To ja będę! — zawołał rycerz.

W najbliższej wiosce kupili długi sznur i udali się do sławnej jaskini.

Wejście do niej tak było zarośnięte krza-

kami, że Don Kiszot musiał szablą przera-
bywać sobie drogę do ciemnego otworu, zie-
jącego chłodem piwnicznym. Jeszcze był zaję-
ty tą robotą, kiedy łoskotem spłoszone, wylecia-
ły z jaskini kruki, wrony, sowy, od wieków
może spokojnie tam mieszkające, i zbitą gro-
madą wpadły na rycerza z taką gwałtowno-
ścią, że go z nóg zwały.

Ale nieustraszony rycerz zerwał się i ma-
chał szablą wśród gąszczu, aż zrobił dostęp
swobodny.

Daremnie błagał go wierny giermek o za-
niechanie przedsięwzięcia, którego skutków
nikt nie mógł przewidzieć.

— Choćbym miał walczyć ze smokiem pie-
kielnym, to się nie cofnę!—wygłosił stanow-
czo Don Kiszot.

Dwaj towarzysze, Sanczo i student, prze-
pasali go sznurem i zaczęli zwolna spuszczać. Po jakimś czasie uczyli, że na sznurze
ubyło ciężaru, a Don Kiszot nie dawał umó-
wionego znaku. Jednakże ciągle sznur spuszc-
czali, dopóki cała jego długość, wynosząca
sto sążni, nie zanurzyła się w jamie; koniec
tylko pozostał w ich rękach. Ciągle jednak
nie było żadnego znaku. W niepokoju prze-
siedzieli pół godziny, to jest czas umówiony
przedtem z Don Kiszotem, i zaczęli sznur
podnosić do góry. Lekki był, jak poprzed-
nio. Dopiero, kiedy wyciągnęli więcej niż

połowę linki, znowu poczuli ciężar. Ucieszyło ich to bardzo.

— Jeżeli rycerz zakończył życie w jaskini, to przynajmniej zwłoki jego wydobędziemy— rzekł student.

Jakoż nareszcie ukazał się Don Kiszot, bezwładny i znaku życia nie dający. Kiedy go ułożyli na trawie, z radością dostrzegli, że dyszy. Dłuższy czas musieli się mozolić, zanim go do przytomności przyprowadzili.

Don Kiszot błędnymi oczyma spojrzął dookoła siebie, wzdrygnął się na widok jasnego nieba nad głową i przemówił.

— Czemuście mnie wydobyli z miejsca tak czarownie pięknego i ze stanu takiej błogości, że podobnego żaden człowiek śmiertelny nie zaznał?

— Czybyśmy czego nie przekazali, rycerzu?—odezwał się Sanczo—bo przyznam się, że jestem głodny okropnie.

Don Kiszot zgodził się na to i wszyscy trzej dobrze sobie podjedli. Następnie rycerz opowiedział, co widział w pieczarze.

— Kiedyście mnie spuszczała, ciemność mnie ogarnęła. Kiedy niekiedy tylko spotykałem blask, dochodzący z góry przez jakieś rozpadliny i szczyby. Pod moimi nogami była przepaść niezglębiona. Ale w ścianie zauważyłem otwór, do którego wszedłem, żeby sobie odpocząć i ciekawość zaspokoić.

Przez ten otwór dostałem się do jaskini obszernej. Wołałem stamtąd na was, żebyście się zatrzymali, ale głos mój zapewne do was nie doszedł, bo lina ciągle się spuszczała. Zebrałem ją w duży pęk i usiadłszy, położyłem na tym pęku głowę. Zaledwo się zdrzemnąłem, kiedy zbliżył się do mnie starzec z brodą białą jak mleko, który, nie wiem jakim sposobem, przeniósł mnie odrazu do pałacu kryształowego. W tym pałacu były sale z alabastrowymi ścianami. Dokoła roztaczał się prześliczny ogród. Wszędzie jaśniało dziwne światło, którego blask stawał się coraz jaśniejszym. Nagle przy smętnych dźwiękach muzyki zjawił się w ogrodzie rój kobiet, idących jakby na procesji. Starzec powiedział mi, że nazywa się Montezynos, że i ta pieczara od niego przybrała nazwisko, że on, jak również te księżniczki i królowny, które po ogrodzie chodzą, i mnóstwo rycerzy, którzy później wystąpią, są zaczarowani i oczekują przybycia znakomitego rycerza, mającego ich oswobodzić. Zaledwo ta procesja przeciągnęła, kiedy, oglądając się za nią, ujrzałem na murawie trzy panny płasające. Wszystkie były urodziwe, ale jedna z nich przecudnej piękności. Poznałem w niej Dulcyneę z Tobozo, również zaczarowaną.

— A jakżeście ją poznali, rycerzu?—zapy-

tał niedowierzający Sanczo.—Przecież kiedyście ją widzieli koło Tobozo, to wydała się wam bardzo brzydka i ordynarna.

— Ale teraz w podziemiu, chociaż śliczna, ubrana była, podobnie jak jej towarzyszki, w te same suknie, które zapamiętałem od czasu spotkania. Przytem i Montezynos potwierdził, że to Dulcynea. Prosił mnie zarazem, żebym opowiedział to wszystko, co widziałem w pieczarze, gdy tylko powrócę na ziemię. Właśnie chciałem się z nim naradzić, jakimby sposobem zdjąć czary z takiego mnóstwa osób, kiedy naraz coś stało się ze mną, pałac, ogród i wszystko znikło i... i... ocknąłem się między wami.

— Śniło wam się to wszystko, rycerzu — zarzucił Sanczo.

Ale Don Kiszot pogniwał się na tę zachwałą uwagę i kazał giermkowi milczeć, zamiast rozprawiać o tem, czego sam nie widział i o czem nie może mieć dokładnego pojęcia.

Kiedy odjeżdżali, Don Kiszot rzucił na jaskinię tęskne spojrzenie, jakby z żalem z nią się rozstawał.

Przed wieczorem przybyli do jakiejś oberży, w której postanowili przenocować. Zastali tam teatrzyk marjonetek czyli lalek ruchomych, których właściciel przysposobił się właśnie do przedstawienia.

Z ciekawością patrzyli zgromadzeni, jak lalki, poruszane za pomocą nitki, biegały, poruszały rękami, słowem, zachowywały się jak żywe.

Teatr przedstawiał pole bitwy między wojskiem chrześcijańskim a mahometańskim. Liczba mahometan była przeważająca i Don Kiszot uczuł obawę, że chrześcijanie ulegną.

— Stójcie!—zawołał—i przestańcie zabijać chrześcijan, bo jeżeli nie, to będziecie mieli ze mną do czynienia!

W samej rzeczy wy dobył szablę i zaczął wściekle płać lalki. Byłby sprawił okropną kapiel krwawą, gdyby to były żywe istoty.

Właściciel teatrzyku błagał o zaniechanie tej rzezi martwych lalek, ale Don Kiszot nie słyszał go nawet w zapale. Widzowie pociękali, a on sam spoczął dopiero wtenczas, kiedy z teatrzyku i lalek były już tylko drzazgi. Bez tchu prawie oparł się na swoim mieczu i po chwili milczenia wykrzyknął.

— Byliby wymordowali wojsko chrześcijańskie, gdyby mnie tu nie było! Niech żyją błędni rycerze!

— A niech żyją — odpowiedział właściciel teatrzyku — ale niech mi zapłacą za szkody i straty. Niech mi zapłacą za moje lalki, za ich ubiory i za teatrzyk.

— Jakie lalki? jakie ubiory? jaki teatrzyk?—zapytał Don Kiszot zmieszany.

Raz jeszcze przyjrzał się pobojuwisku i okazało, że to z pewnością czarownik zasłupił go tak, iż lalki wziął za żywych ludzi, a przedstawienie za prawdziwą bitwę.

Nie innego nie pozostawało, jak tylko wydobycie pieniędzy i dobrze zapłacić za szkodę.

Don Kiszot, zawstydzony, poszedł spać, zlorzecząc swemu losowi.

XIX.

ZACZAROWANA ŁÓDKA.

Don Kiszot i jego giermek rozstali się ze studentem i we dwóch tylko dalszą podróż odbywali. Po kilku dniach zbliżyli się do wspaniałej rzeki. Don Kiszot ujrzał kołyszącą się przy brzegu łódkę, przyczepioną sznurem do kółka, tkwiącego na wybrzeżu. Ani wiosła, ani steru, ani żagli łódka nie miała. Mimo to rycerz zsiadł z Rosynanta, którego puścił wolno, wskoczył do łodzi, przywołał Sanczę do swego boku i rzekł.

— To łódź zaczarowana; wzywa mnie, że bym jej się powierzył. Z pewnością jakiś rycerz albo jakaś szlachetna panienska jest w niebezpieczeństwie i potrzebuje mnie dla swego ocalenia.

— Wielmożny panie, to łódź rybacka, wca-

le nie zaczarowana—ostrzegaj Sanczo—niech pan z niej wysiądzie, bo jeszcze jaka szkoda wyniknie.

— Masz milczeć i spełniać moje rozkazy!

Trzeba było słuchać. Osielek również, swobodnie puszczone, zaryczał, co tak wzruszyło Sanczę, że zaczął płakać i prosić. Rozgniewany Don Kiszot zagroził mu, że go wrzuci w wodę, jeśli tak się będzie zachowywał, i to uspokoiło giermka.

Czółno z początku ślizgało się łagodnie po powierzchni wody. Kiedy wypłynęło na środek rzeki, bystrzejsza fala je poniosła; niebawem ukazały się młyny pływające. W oczach Don Kiszota były to zamki obronne, w których wdychała więziona panienska. Z przyjemnością tedy widział, jak łódka mknęła coraz chyżej, niesiona bystrym prądem, wprost na młyny.

Biało ubrani młynarze już zdaleka spostrzegli mały stateczek z dwoma ludźmi, pędzący na zgubę, a widząc, iż wiosła wcale się nie poruszają—bo wiosła, jak wiemy, nie było — że więc ludzie, którzy są w łódce, nie mogliby sami ratować się, choćby nawet chcieli, chwycili długie tyki, żeby nie wpuścić łódki pod koła młyńskie.

Don Kiszot wziął ich za duchy w bieli. Podniósł się w łódce, groził i krzychał.

— Oddajcie wszystkich, których trzymacie

w więzieniu, bo ja tu jestem, Don Kiszot z Manczy, błędny Lwi rycerz!

Wydobył miecz i machał nim w powietrzu, kiedy młynarze tykami wstrzymywali łódkę. Nareszcie tak się rozruszał, że łódź wywrócił, i obaj z Sanczem wpadli do wody. Choć Don Kiszot pływał dobrze, ale zbroja ciężła mu i krępowała jego ruchy; byliby potonęli, gdyby ich nie wyratowali młynarze. Wydobyto ich przemoczonych zupełnie. Łódkę zaś rozbiły koła młyńskie.

Nadbiegli tymczasem rybacy, właściciele zniszczonego czołna, i hałaśliwie domagali się wynagrodzenia za szkodę.

Don Kiszot zgadzał się na zapłacenie, byleby więźniom przywrócono wolność. Ale młynarze wyśmiali go.

— Wybaczcie mi, nieszczęśliwi — wołał do urojonych więźniów — że nie dla was uczynić nie mogę. Przemocne duchy w niwecz obróciły moje usiłowania.

Sanczo Pansa tymczasem z wielkim żalem zapłacił rybakom za łódkę. Rozgoryczony, chciał już opuścić swego pana i wrócić do swojej Jagusi, ale wypadki ułożyły się inaczej.

Kiedy nazajutrz bohater nasz i jego giermek wyjeżdżali z lasu na zieloną łączkę, ujrzeli towarzystwo myśliwców na koniach. Była między nimi piękna pani na białym wierzchowcu.

Giermek otrzymał rozkaz, aby zaraz pojechał i pozdrowił myśliwców od swego pana.

Kiedy oznajmił, że przemawia w imieniu Don Kiszota, nieznajomi kazali mu zaprosić rycerza.

Towarzystwo było wesołe. Młody książę, jego piękna żona, jak również panowie z niemi polujący słyszeli już o dziwactwach rycerza z Manczy i o jego giermku, radzi więc byli, że im się zdarza sposobność poznać tych obu ludzi osobiście i zabawić się ich śmiesznościami.

Powitanie zepsuło się trochę skutkiem drobnej przygody: jakiś złośliwy czarownik splątał nogi Sanczy, który zamiast zeskończyć zręcznie, upadł na ziemię głową na dół. Don Kiszot myślał, że Sanczo trzyma jego strzemień jak zwykle, kiedy zsiadał z Rosynanta, i przewrócił się także. Obydwom dopomóżono do wstania, jednakże ten mały wypadek skwasił ich trochę z początku. Rozpogodzili się wkrótce, gdy książę i księżna zaczęli rozmawiać z niemi bardzo uprzejmie i zaprosili ich do swego pałacu.

XX.

GOŚĆ KSIĄŻĘCY.

Księżna wracała z polowania wolnym truchtem, po drodze wychwalała Don Kiszota i śmiała się z opowiadań Sanczy, książę zaś pojechał naprzód, żeby rycerzom zgotować świetne przyjęcie.

Jakoż naprzeciw Don Kiszota wyszli najpierw dwaj słudzy, bogato ubrani; następnie w dziedzińcu powitały go dwie panny dworskie, które zarzuciły mu na ramiona płaszcz szkarłatny. W sieniach stała służba, skropiła rycerza i książęcą parę deszczem pachnącym i wykrzykiwała.

— Niech żyje kwiat i chluba rycerstwa!

Potem wprowadzono gościa do sali, obwieszanej drogiemi kobiercami, gdzie sześciu giermków książęcych zdjęło z niego zbroję i odziało go we wspaniałe szaty.

Przedtem jeszcze wspomniane panny dworskie przyniosły miednicę i obmyły mu ręce.

Następnie urzędnik dworski i dwunastu giermków zaprowadziło rycerza do jadalni, w której na stole były nakrycia dla czterech osób. Tu spotkał się znowu Don Kiszot z obojgiem księstwem i z ich kapelanem. Rycerza posadzono na pierwszym miejscu, chociaż bardzo się wzdragał.

Przy tej sposobności opowiedział Sanco, że znał szlacheica wysokiego rodu, który zaprosił do siebie na obiad wyrobnika ubogiego ale uczciwego i chciał go także usadowić na miejscu przedniejszym. A kiedy wyrobnik się opierał, szlacheic wziął go za kark i posadził gwałtem, mówiąc.

— Siedz tu, prostaku, kiedy tego żądam, a pamiętaj, że gdziebądź siądziesz, to pierwsze miejsce tam jest, gdzie ja siedzę.

Don Kiszot zrozumiał, że giermek do niego pije i twarz jego poczerwieniała od gniewu; byłby zaraz wybuchnął, ale księżna, żeby tę burzę zażegnać, zapytała rycerza o piękną Dulcyneę z Tobozo.

— Niestety! — odpowiedział rycerz z westchnieniem — kiedy ją ostatni raz widziałem, była przez złośliwego czarownika przemieniona w szkaradną wieśniaczkę.

Ksiądz kapelan, usłyszawszy te słowa, chciał Don Kiszotowi wytłumaczyć, jak niedorzeczną jest wiara w czary i jak bezużytecznem błędne rycerstwo. Ten wszakże tak ufał swoim książkom rycerskim, że cała wymowa księdza była grochem na ścianę.

Po obiedzie weszły do pokoju cztery panny. Jedna niosła srebrną miednicę, druga srebrną koneweczkę, trzecia pachnące mydło, czwarta ręczniki. Ta ostatnia osłoniła ręcznikami zwierzechnią odzież rycerza, po-

czem panna z mydłem namydliła mu twarz tak rzetelnie, że Don Kiszot nie mógł oczu otworzyć. Poddawał się temu rycerz cierpliwie, gdyż sądził, że taki jest zawsze obyczaj na dworze książęcym. Nareszcie wymyło mu wodą mydło z twarzy i brody i wytarto do czysta.

Oboje księstwo przyglądali się ze zdziwieniem tej żartobliwej psocie swoich pańien dworskich, o której nie byli uprzedzeni. Kiedy już Don Kiszot siedział wymyty i czysty, książę kazał i swoją brodę obmyć, żeby się rycerz nie spostrzegł, że z niego stroją żarty. Panienki spełniły rozkaz, tylko użyły tym razem znacznie mniej mydła.

Sanczo Pansa, który podczas obiadu stał za krzesłem swego pana, odezwał się.

— Jakby to było dobrze, gdyby po obiedzie obmywano także i giermków błędnych rycerzy!

— Twoje życzenie będzie spełnione — odpowiedziała księżna.

Sprzątnięto ze stołu i służba z Sanczem oddaliła się, aby również podjeść. Księstwo rozmawiali jeszcze z Don Kiszotem o Dulcynei, kiedy wpada Sanczo, podwiązany brudną ścierką, krzyząc, że chcą go myć pomyjami z szaflika.

Książę stłumił śmiech w sobie, nasrożył twarz, zgromił swoją służbę i kazał obcho-





dzić się z Sanczą grzecznie, jako z giermkim sławnego rycerza. Wzruszony Pansa padł mu do nóg, podziękował i wszyscy rozeszli się na poobiedni spoczynek.

Szczęśliwie płynęło w pałacu życie Don Kiszota. Oboje księstwo podejmowali rycerza i jego giermka bardzo gościnnie i ze wszelkimi oznakami czci wielkiej.

Jednego dnia całe towarzystwo wybrało się na łowy. Don Kiszot nie chciał przywdziać otrzymanej odzieży, tłómacząc się, że rycerz powinien używać zbroi rycerskiej, żeby od niej nie odwykać. Nie chciał też wsiąść na innego konia, tylko na swego Rosynanta. Sanczo natomiast zarzucił na siebie nowe ubranie; tylko również nie chciał się rozstawać ze swoim osłem.

Przybyli do gęstego lasu pośród gór i każdy zajął stanowisko zawczasu wyznaczone. Don Kiszota miejsce było przy księżnej.

Myśliwcy zagrali na rogach, odezwało się naszczekiwanie psów i trzeszczenie łamanych gałęzi. Oblawnicy wypędzili dziką z legowiska i rozjuszony zwierz wpadł na strzelców, oganiając się psom, które napastrywały go zewsząd. Wszyscy myśliwi czekali odważnie na spotkanie z potężnym zwierzęciem, nie cofnęła się nawet księżna, choć kobieta. Sanczo tylko, przejęty trwogą, wlaź na dąb najbliższy i obu nogami okraczył

grubą gałąź. Ale niezbyt szczęśliwie wybrał sobie schronienie. Gałąź, już nadpróchniała, oberwała się pod jego ciężarem.

Giermek jednakże nie doleciał do ziemi. Ubraniem zaczepił się za sęk wystający i ostry, który wprawdzie wydarł dużą dziurę w jego nowej odzieży, ale jej nie przerwał doszczętnie i giermek zawisł w powietrzu, machając rękami i nogami, i krzyząc żałościwie. Wierny Bury stanął pod dębem bez ruchu; Sancho nieledwie go dotykał, ale trzymał się mocno sęka i tak jęczał, że się obejrzano na niego, czy go dzik nie szarpie kłami. Widok jego pociesznych ruchów pobudzał wszystkich do śmiechu. Wkrótce dzika zastrzelono, Don Kiszot, który dotychczas nie ruszał się z miejsca, skorzystał z chwili, w której mógł opuścić księżnę, i pomógł swemu giermkowi do zejścia. Ledwo że nie płakał Sancho na widok swej pięknej odzieży podartej; dobrotliwe słowa pana niewielką mu przynosiły pociechę.

Zabitego dzika odesłano do pałacu; potem zabrano się do posiłku. W lesie był urządzony wspaniały namiot, w którym oczekiwano myśliwców suta wieczera. Kiedy ją spożyli i o zmroku wybierali się z powrotem, niespodziewanie zdala zagrały rogi, a cały las tak zajaśniał, jak gdyby stanął w płomieniach. Odezwały się brzmiające trą-

by, hałaśliwe bębny, okrzyki wojenne ogłuszały uszy — możnaby myśleć, że dwa nieprzyjacielskie wojska toczą bój śmiertelny. Książę zdawał się być zdumionym. Don Kiszot chwycił szablę w rękę, a Sancho Pansa drżał, jak osinowy listek. Lecz hałas jak niespodziewanie powstał, tak niespodziewanie umilkł. Wtem przed namiot zajechał jakiś straszny potwór. Oznajmił się sam słowami.

— Jestem djabeł i szukam błędnego rycerza, Don Kiszota z Manczy. Za mną ciągnie wojsko sławnych czarowników, prowadzące na wozie niezrównanie piękną Dulcyneę i starca Montezyna, który ma obwieścić, jakim sposobem Dulcynea może być odczarowana. Ale to wymaga wielkiej odwagi.

— Choćby każdy z was był najdjabelniejszym djabeł, to jednak przeciwko wam stanę — odpowiedział nieulękniomy Lwi rycerz. — Ja jestem właśnie Don Kiszotem z Manczy, którego szukasz.

— Czekaj tu! — zawołał djabeł, zatoczył koniem i pocwałował w głąb lasu.

— Czy naprawdę chcesz, rycerzu, oczekiwać czarowników? — spytał książę zamyślnego Don Kiszota.

— Z pewnością — odrzekł rycerz. — I choćby całe piekło wyległo, takżebym się nie cofnął.

— To i ja zostanę przy panu! — zawołał Sanczo, tuląc się do niego.

Rozległ się straszny łoskot, szezęk żelaza, huk wystrzałów, krzyki i jęki. Sanczę opuściła odwaga. Na pół omdlały, padł twarzą na ziemię. Zlano go zimną wodą i podniesiono właśnie, kiedy się zbliżył wóz, zaprzężony w cztery tegie byki, w części osłonięte czarnymi oponami. Na rogach byków tkwiły płonące pochodnie. Z wozu zsiadł starzec białobrody, którego dwa djabluki przywiodły przed Don Kiszota.

Za tym wozem szedł drugi, ciągniony przez cztery siwe muły, osłonięte oponami białymi a cienkimi. Na każdym mule jechała osoba w bieli, z pochodnią w ręku. Na wozie wznosił się tron, a na nim siedziała kobieta w długiej, białej zasłonie, haftowanej złotem i srebrem, ale tak cienkiej, że przez nią widać było prześliczną twarzyczkę. Obok niej stała czarna postać przygarbiona, z trupią głową, w której oczodołach połyskiwały światełka.

Białobrody starzec przemówił.

— Jestem Montezynos. Towarzyszę uroczej piękności, aby szlachetnemu rycerzowi oznajmić, że Dulcynea będzie odczarowaną, jeżeli giermek jego, Sanczo Pansa, wymierzy sobie trzy tysiące trzysta uderzeń na swoje szerokie plecy.

— Do kroćset!—zawołał Sanczo—to ładne wymaganie! Cóż moje plecy obchodzą zaczarowaną Dulcyneę? Dla mnie może ona pozostać zaczarowaną, czyż niema na to innego sposobu, tylko moje plecy?

— A, ty łotrze! — krzyknął Don Kiszot — To ty taki jesteś?! Musisz to zrobić, bo inaczej wydrę z ciebie duszę! Zaraz zaczynaj!

— Hola, szlachetny rycerzu! — wstrzymał go Montezynos—Sanczo Pansa musi poddać się plagom z własnej wolnej i nieprzymuszonej woli. Inaczej byłyby bezskuteczne.

Sanczo pozostał nieubłagany.

Słyszac to, dziewica, siedząca na tronie, odrzuciła za siebie przezroczystą zasłonę, powstała i obsypała giermka wyrzutami.

— Ty niewdzięczniku! — mówiła — takie wrzaski wyprawiasz z powodu marnej chłosty! Jeszcze gdyby żądano, żebyś całą godzinę biegał po rozżarzonych węglach... Ale dla takiej drobnostki miałabym na całe życie zostać szkaradną dziewczką?! Niema w tobie za grosz serca! Nie wart jesteś być giermkiem tak wielkiego rycerza!

Wdał się też i książę w tę sprawę.

— Miałem cię zrobić gubernatorem — powiedział—na jednej z wysp moich potrzeba rządcy. Ale co myśleliby poddani o człowieku bezlitośnym i niewdzięcznym, jak ty, gdybym im takiego niegodziwca nadesłał?

Nawet księżna wstawiała się do giermka; lecz on wreszcie prosił o dwa dni do namysłu. Ale Montezynos zgodził się czekać tylko pięć minut. Nadmienił jeszcze, że liczba uderzeń może być przepołowiona, jeśli Sanczo się zgodzi, żeby mu je wymierzyła inna silna ręka; że wreszcie może się to odbyć nie ryczałtem, ale częściowo, potrochu, takimi porcjami, jakie sam Sanczo uzna za stosowne.

— Niech i tak będzie, zgadzam się — jęknął nareszcie skruszony uparciuch — ale wtenczas, kiedy sam zechcę, i ilość razy będzie zawsze podług mojej woli.

Wzruszony Don Kiszot uściskał giermka i ucałował. Wozy ruszyły i Dulcynea, odjeżdżając, skłoniła się głęboko przed księżną. Oboje księstwo bardzo byli zadowoleni, że komedja tak się wybornie powiodła i że ich słudzy tak dobrze odegrali swoje role. Postanowili więc zatrzymać rycerza i giermka dłużej jeszcze, żeby z nich mieć rozrywkę.

XXI.

DREWNIANY KOŃ.

W parę dni później zapytała księżna.

— Powiedźże mi, Sanczo, czy rozpocząłeś już obiecane wyzwalanie Dulcynei?

A kiedy ten potwierdził, spytała jeszcze.

— Czemże się bijesz?

— Własnymi rękoma, proszę waszej księżęj mości.

— Biedny giermku, to ci bardzo niewygodnie.

— To prawda—odpowiedział.

— Myślałam właśnie o tem — rzekła dalej księżna—i żeby ci to ułatwić, kazałam przygotować tę oto dyscyplinę, dopasowaną według miary do twoich pleców. Przyjmij ją ode mnie. Mam nadzieję, że i dla ślicznej Dulcynei taka chłosta będzie skuteczniejszą.

Giermek wielkimi oczyma patrzył na ten dar i namyślał się, coby powiedzieć, ale Don Kiszot zawołał na niego.

— Sanczo, upadnij do nóżek księżnej pani i podziękuj za jej łaskawość.

Pansie nie pozostawało tedy nic innego do zrobienia, jak tylko usłuchać swego pana. Niezwłocznie też to uczynił.

Innego dnia po obiedzie odezwały się bębny, piszczałki, później zabrzmiała smępna muzyka i weszli przez ogród dwaj ludzie w żałobnych ubiorach. Za nimi kroczyła wysoka pani w białej, bogatej sukni; długi ogon tej sukni niosło trzech młodzienisków. Za tą panią postępowało parami dwanaście pań także w bieli. Wszystkie te kobiety miały na głowach gęste, długie zasłony.

Pani, postępująca na przodzie, złożyła księstwu głęboki ukłon i rzekła.

— Najlaskawsi państwo, widzicie przed sobą nieszczęśliwą niewiastę, która błaga waszej opieki. Ale zanim opowiem o ciężkiem strapieniu mojem, raczcie mi powiedzieć, czy rzeczywiście tu znajdę sławnego rycerza, Don Kiszota, i jego wiernego giermka, Sanczę Pansę?

— Sanczo Pansa to ja!—zawołał, występując naprzód giermek — a Don Kiszot, wzór błędnych rycerzy, także tu stoi. Gotowi jesteśmy pomagać wszystkim uciśnionym.

— Jeżeli smutek pani może być złagodzoną dzielnością ramienia błędnego rycerza, to ja Don Kiszot, ofiaruję chętnie moje usługi—rzekł nasz bohater.

Oslonięta pani oznajmiła wtenczas, że nazywa się hrabiną Tryfaldi, że straszny czarownik pozbawił ją całego mienia i najokropniej oszpecił ją i dwanaście pań i panien, będących na jej dworze.

To mówiąc, hrabina Tryfaldi odrzuciła zasłone, jej towarzyszki uczyniły toż samo i obecni ujrzeni ze zdumieniem, że każda z nich miała ogromną, gęstą brodę. Don Kiszot nie mógł powściągnąć okrzyku; książęca para, zdziwiona, przyglądała się temu zjawisku.

Brodata hrabina mówiła dalej.

— Byłybyśmy wołały śmierć ponieść, aniżeli widzieć nasze twarze tak potwornie zmienione. Jakby na większe urągowisko, okrutny czarownik obwieścił, że jeśli my teraz, zeszpecone, znajdziemy tak szlachetnego rycerza, żeby się za nami ujął i odważył się stanąć z tym strasznym czarownikiem do walki, to odzyskamy naszą dawną urodę.

— Gdzież więc można się z nim zmierzyć?—zapytał Don Kiszot.

— Mieszka w mojej majątności hrabiowskiej, o pięć tysięcy mil stąd — odpowiedziała hrabina Tryfaldi. My, nieszczęśliwe, przebyłyśmy pieszo tę drogę, gdyż sława mężnego Don Kiszota obiegła świat cały i obudzila w nas ufność, że tylko rycerz z Manczy będzie tak wspaniałomyślny i ujmie się za naszą krzywdą. Ale czarownik powiedział nam na odchodnem, że choćby rycerz mieszkał jak najdalej, a zgodził się na walkę, to przyśle po niego konia napowietrznego, Jednorożca Drewnianego, na którym rycerz i jego giermek bardzo prędko przyjadą. Też konia zrobił sławny czarodziej Merlin. Koniowi z czoła wyrasta róg, a na jego grzbiecie jest miejsce właśnie dla dwóch jeźdźców. Jeden z nich powinien kręcić róg, wyrastający koniowi z czoła i wtenczas wierzchowiec czarodziejski wzlatuje w górę

tak prędko i lekko, że jadący nie czują prawie ruchu. Ale koń wzbija się bardzo wysoko i ktoby, siedząc na nim, spojrział wtedy na ziemię, dostałby zawrotu głowy, spadłby i śmierć by poniósł. Dlatego przed zakręceniem rogu jeźdźcy muszą sobie oczy dać zawiązać. Zresztą jest to wierzchowiec bardzo łagodny i posłuszny.

— Zobaczyc, to chętnie zobaczę tego jednoroźca — wtrącił Sanczo Pansa — ale jeździć na nim nie będę. Mój Bury także lekko mnie nosi, a chodzi po ziemi. Niech tam sobie ta hrabina z brodą chodzi szczęśliwie; małoż to ludzi brodatych znałem, którzy weale się nie trapiłi swoim zarostem, dobrze spali i dużo jedli, gdy tylko mieli co dobrego do jedzenia.

— Więc odmawiasz, Sanczo? — spytała hrabina zmartwiona — ja tyle ufałam twojej przyjaźni dla rycerza i twojej wierności!

— Boisz się, Sanczo? — zawołał Don Kiszot.

— Przecież mam być gubernatorem — odparł Sanczo Pansa. — Cóżby moi podwładni powiedzieli, gdyby ich gubernator latał jak nietoperz po powietrzu?

— Jeszcze tego brakło — dodał książę — że bym na swoją wyspę posyłał gubernatora bojaźliwego, podszytego tchórzem. Bojaźliwość Sanczy zmienia moje zamiary.

— Poczciwy giermku — błagała hrabina —

nie opuszczaj szlachetnego rycerza w tak strasliwym niebezpieczeństwie.

— Dobrze już, dobrze — zgodził się Sanczo, któremu w głowie utkwiała myśl, że mógłby z własnej winy owo gubernatorstwo postradać.

— Mój Sanczo, wsypże sobie nareszcie te pięćset dyscyplin przed odjazdem — prosił Don Kiszot. — Tym sposobem prędzej odczarujesz Dulecneę!

— A jakążbyście ze mnie w drodze mieli pociechę, wielmożny rycerzu — odrzekł Sanczo — gdybym sobie właśnie na wyjezdne poszatkował plecy, jak kapustę? Tobym dopiero dobrą porę wybrał! Poprostu jechałbym nie mógł.

Przekonany rycerz odstąpił od swego żądania, wymógł tylko na giermku obietnicę, że po powrocie z podróży pilnie się tem biczowaniem zajmie.

Słońce już zaszło, zmrok zapadał. Wtem czterej murzyni wnieśli drewnianego konia, któremu na czole sterczał róg. Rycerz wsiał na tego rumaka, nie zwłócząc, Sanczo wdrapał się za nim powoli i niechętnie. Obydwom zawiązano oczy.

Don Kiszot zakręcił ten róg, mówiąc do giermka.

— Trzymaj się mnie mocno, żebyś nie spadł.

— Jak prędko lecą w górę! już ledwie ich widać—mówiły oddalające się głosy.

— Naprawdę, panie, ten Jednorożec bardzo lekko niesie, nawet nie czuję, że lecę w powietrze—odezwał się Sanczo.

— I to trzeba przyznać, że mamy wiatr pomyślny.

W istocie książę kazał stanąć kilku ludziom z mieszkami, którzy dęli z całych sił na Don Kiszota i Panse.

— Teraz wjeżdżamy w obłoki ogniste — zauważył rycerz.

— Ja sam czuję, że mam na pół osmoloną brodę—odrzekł Sanczo.

Czuli rzeczywiście gorąco, bo książę kazał dokoła nich zapalić pęczki słomy na drążkach i machać tym płomieniem ostrożnie, żeby jeźdźców nie zapalić.

— Panie, ja troszkę odsłonię oczy; chciałbym zobaczyć...

— Ani się waż!—zgromił go Don Kiszot.—Mógłbyś nas obu przyprawić o zgubę!

Rozmowy te rycerza ze swym giermkim słyszeli obecni, którzy ledwo się nie podusili, tłumiąc w sobie chętkę do śmiechu.

Nareszcie na skinienie księcia lokaj przysunął płomień do ogona końskiego. Wnętrze konia było wypełnione materjałami do ogni sztucznych. Koń zionął z siebie iskry, podskoczył i padł, a rycerz i giermek zlecieli na ziemię.

W tejże chwili hrabina i jej towarzyszki opuściły ogród, a służba ukryła mieszki i niedopalone części słomy. Książę i wszyscy obecni legli na murawie, niby w omdleniu.

Rycerz podniósł się pierwszy, a za nim giermek. Obaj zrzucili przepaski z oczów, i rycerz ujrzał zawieszony na wysokiej tyczce papier, na którym złotymi literami wypisane były wyrazy:

«Sławny na świat cały Don Kiszot z Manczy, rycerz Lwi, odwagą swoją przywrócił urodę hrabicie Tryfaldi i jej towarzyszkom. Majętność hrabiny znowu do niej należy. Skoro tylko Sanczo Pansa dopełni swego przyrzeczenia, Duleynea z Tobozo także będzie odczarowana.

Merlin, wielki czarownik.»

Sanczo zobaczył ze zdziwieniem i zwrócił uwagę rycerza na to, że obaj napowrót są w tym samym ogrodzie, z którego wyjechali, tylko jacyś ludzie leżą tu na trawie.

Don Kiszot zbliżył się do nich. Spogląda, a tu leży książę, który najpierw oczy otworzył, niby do przytomności wracając z omdlenia. Za nim powstali inni. Wszyscy serdecznie wieszowali rycerzowi tej odwagi niepospolitej.

— Gdzież jest ta hrabina Tryfaldi i jej kobiety?—zapytał Sanczo.

— W chwili, kiedy Jednorożec Drewniany zionął ogniem i padł z wielkiego zmęczenia, hrabiance Tryfaldi i jej towarzyszkom brody znikły i cały ten orszak rozplynał się w powietrzu—brzmiała odpowiedź.

XXII.

SANCZO GUBERNATOREM.

Nazajutrz książe wezwał do siebie Sanczę i oznajmił, że teraz właśnie nadszedł czas objęcia gubernatorstwa, o którym kilka razy była przedtem mowa. Z radością i wielkimi dziękczynieniami wysłuchał Sanczo tej nowiny i chciał zaraz wybrać się w drogę.

Don Kiszot dał mu wiele ostrzeżeń bardzo rozumnych, dotyczących sztuki rządzenia. Sanczo pilnie uważał na jego słowa, okazując, że leży mu na sercu, żeby się wywiązał należycie z podjętych obowiązków.

Kiedy nadszedł dzień odjazdu, przybrano Sanczę bogato, wsadzono na muła, dodano mu, jako gubernatorowi, odpowiednie towarzystwo, i wyprawiono za nim jego osielka, gdyż Sanczo nie chciał nawet na urządzie rozstawać się ze swoim wiernym Burem.

Po krótkiej podróży spokojnie przybył do miasteczka, liczącego około tysiąca miesz-

kańców; powiedziano mu, że to jest wyspa Baratarja i on ma nią zarządzać. Wprawdzie wyspa każda jest naokoło wodą otoczona, Sanczo zaś przyjechał do owej Baratarji po suchej drodze; ale nie przeszkadzało mu to uwierzyć, iż się znajduje na wyspie.

Najpierwej udał się do kościoła, żeby Pana Boga prosić o błogosławieństwo; później wprowadzono go uroczyście do ratusza, gdzie powinien był rozsądzić zaraz sprawy, jakie się nagromadziły, ażeby cały lud wiedział, co trzymać o swoim nowym rządcy.

Jakoż zaraz rozpoczęły się posiedzenia.

Do sali sądowej weszli dwaj ludzie, domagając się sprawiedliwości. Jeden z nich opowiedział, że u drugiego, krawca z rzemiosła, zamówił kaptur i dał mu kawał sukna, które miało być na ten kaptur użyte. Wiedząc jednak, iż krawcy zwykle zatrzymują sobie część materiału, a nie chcąc w taki sposób szkody ponieść, zapytał, czy mogą być z tej ilości sukna sporządzone dwa kaptury.

— Mogą być dwa kaptury — odrzekł krawiec.

— A trzy?

— Mogą być i trzy.

— Czy nawet i cztery?

— Mogą być cztery kaptury.

— Więc proszę mi z tego sukna zrobić pięć kapturów.

Krawiec się na to zgodził, umówili się o cenę i o termin i w oznaczonym dniu krawiec oddał pięć kapturów. Ale jakich? proszę patrzeć!

To mówiąc, skarżący podniósł rękę, u której na każdym palcu wisiał malusieńki kapturek.

— Czegóż zatem żadasz?—zapytał Sancho.

— Żeby krawiec nietylko zrzekł się zapłaty, ale zwrócił mi wartość zepsutego sukna, bo przecież z tych zabawek ja żadnego pożytku mieć nie będę.

— Cóż ty na to? — zapytał Sancho oskarżonego.

— Wszystko tak było, jak mówi ten człowiek—odrzekł krawiec—ale że nie umówiliśmy się o wielkość kapturów, więc ja, żeby ukarać tego człowieka za podejrzenie krzywdzące, zrobiłem tyle kapturów, ile sobie zamówił i ani zrzynka sukna sobie nie zostawiłem.

Sancho Pansa pomyślał i wydał taki wyrok.

— Ponieważ każdy z was drugiego krzywdził świadomie, jeden podejrzeniem niesłusznym, drugi robotą dla tamtego nieprzydatną, więc jeden z was utraci swoje sukno, a drugi nie dostanie za swoją robotę. Kapturki mają być oddane ubogim.

Wyprowadzono tych ludzi, natomiast weszli dwaj inni, obaj w podeszłym już wieku. Szło im o dziesięć złotych monet, które jeden drugiemu pożyczył i domagał się zwrotu. Tamten przyznawał, że taką pożyczkę zaciągnął, ale utrzymywał, że ją spłacił i gotów był swoje słowo przysięgą stwierdzić.

— Czy zgadzasz się na to?—zapytał Sancho skarżącego.

Ten odpowiedział.

— Znam tego człowieka oddawna i wiem, że nie przysięgliby fałszywie, a zatem się zgadzam.

Oskarżony trzymał gruby kij w rękę; oddał go skarżącemu na czas wykonywania przysięgi, poczem rękę podniósł i przysięgł, że miał wprawdzie pieniądze tamtego, ale mu je zwrócił.

Po wyrzeczeniu słów przysięgi oskarżony odebrał swą łaskę i śpiesznie zwrócił się ku wyjściu. Lecz Sancho, wychodząc nagle z zamyslenia, kazał obydwóm przywołać raz jeszcze.

— Podaj mi swój kij!—zawołał do oskarżonego.

I odebrawszy łaskę, oddał ją skarżącemu.

— Teraz naprawdę jesteś splecony—dodał.

— Jakto?—zapytał skarżący—alboż ta łaska warta jest dziesięć sztuk złota?

— Rozłamcie zaraz laskę!—krzyknął Sanczo.

Spełniono rozkaz i z wydrażonego wewnątrz kija wysypało się dziesięć sztuk złotej monety.

Wszyscy podziwiali mądrość wyroku i ciekawi byli, jak Sanczo Pansa odgadł, co się w kiju mieści.

— Rzecz bardzo prosta — odpowiedział — widziałem, jak ten człowiek oddawał swojemu wierzycielowi laskę przed przysięgą, patrzyłem na niego podczas przysięgi, zauważyłem, jak skwapliwie laskę odbierał później i domyśliłem się podstępu.

Z ratusza przeprowadzono Sanczę do pięknego domu, gdzie w sali świetnie przystrojonej czekała go wspaniała uczta. Gdy wszedł, zagrała muzyka. Giermkowie podali mu naczynie z wodą do umycia rąk. Sanczo, chociaż bardzo był głodny, jednakże zachował się z całą powagą. Nareszcie zasiadł przy stole, na którym podano tylko dla niego nakrycie, a jednak było tam mnóstwo potraw, bardzo ponętnie wyglądających. Obok jego krzesła stanął nieznamy pan z maleńką pałeczką w ręku, który objaśnił, że jest lekarzem i że obowiązkiem jego jest czuwać nad zdrowiem pana gubernatora.

Zaledwie Sanczo sięgnął po owoce, już lekarz dotknął ich pałeczką, a na ten znak

służba uprzątnęła je pośpiesznie. Podobnego losu doznały inne potrawy, które Sanczo chciał spożywać.

Wyglodzony gubernator pogniewał się narzecze, ale nic to nie pomogło. Lekarz pozwolił mu tylko zjeść troszkę słodyczy.

Doprowadzony do ostateczności, Sanczo zapytał swego dręczyciela o nazwisko.

— Nazywam się Pedro Recjo—rzekł lekarz.

— Więc panie Pedro Recjo, wynoś się stąd natychmiast, a służba niech mi zaraz da jeść, bo inaczej kwita z gubernatorstwa.

Jeszcze się spierali, kiedy zagrała trąbka pocztarska i posłaniec księcia przyniósł list. Odebrał go młodzieniec, który oznajmił, że pełni urząd sekretarza przy gubernatorze. Z upoważnienia Sanczy otworzył ten list i przeczytał, co następuje.

«Przyjacielu Sanczo Pansa, czuwaj, bo nieprzyjaciele zamierzają napaść na wyspę Baratarję. Miej więc czujne oko. Doniesiono mi, że czterej ludzie dybią na twoje życie, chcąc wyspę pozbawić twego mądrego kierownictwa. Nie dotykaj więc potraw, zastawionych na twoim stole. Miej się na baczności. Rachuj na moją pomoc życzliwą i bywaj zdrow. Twój książę.»

Otoczający zdawali się pytać go spojrzeniami, co robić.

— Coś przecie zjeść muszę — rzekł Sanczo — bo umieram z głodu — i wziął nieco winogron.

Biedny gubernator musiał się zadowolić tłumaczeniem doktora, że owoce mają w sobie za dużo wilgoci i chłodzą krew, że korzenne przyprawy, dodane do potraw mięsnych, rozpalają, a napoje spirytusowe przyśmiewają jasność myślenia.

Po chudym, choć niby wspaniałym posiłku, zaprowadzono znowu Sanczę do sali sądowej, gdzie czekała go sprawa niełatwa.

Przybyli trzej mieszkańcy wsi sąsiedniej i prosili o wskazówkę, jak mają postąpić w następującym kłopotliwym wypadku.

Przez wieś płynie rzeka, na niej jest zbudowany most, a obok niego stoi szubienica i domek dla sędziów. Oddawna istnieje tam prawo, o którym wszyscy mieszkańcy okolicy wiedzą, że ktokolwiek przez most przechodzi, ten jest badany, w jakim celu idzie. Jeżeli odpowiada zgodnie z prawdą, to go puszczają swobodnie; lecz jeśli się okaże, iż kłamie, to wieszają go na szubienicy. Otóż właśnie niedawno jakiś człowiek, przez most idący, zapytany o cel swojej podróży, oświadczył, że po to idzie, aby ponieść śmierć na owej szubienicy. Sędziowie nie wiedzą teraz, co z nim począć. Jeżeli go powieszają, to właś-

nie wypadnie, że on mówił prawdę, że go więc powiesili niesłusznie. Jeżeli go puszcza wolno, to wyniknie stąd, że skłamał, zasługiwał tedy na powieszenie. Od mądrości gubernatora Baratarji oczekują rozstrzygnięcia tego kłopotliwego pytania.

Sanczo zamyślił się głęboko i rzekł.

— Ten człowiek zarówno zasługuje na to, żeby wisieć podług waszego prawa, jak i na to, żeby być wolnym; a że w razach wątpliwych, jak mówił rycerz Don Kiszot z Manczy, należy kierować się łagodnością, zatem uwolnijcie swojego więźnia.

Minał już tydzień urzędowania Pansy; przez ten czas jadł mało, pracował dużo, mnóstwo spraw rozsądzał i po mieście chodził, aby się przekonać samemu, jakie przepisy byłyby użyteczne, a jakie są szkodliwe i powinny być usunięte. Wieczorem siódmego dnia zaledwie położył się do łóżka i usnął, kiedy zbudził go nadzwyczajny hałas. Dzwoniły dzwony, grały trąbki, bębny dudniły głucho i posepnie. Tuż u drzwi sypialni Sanczy tłum ludzi z obnażonymi pałaszami wołał.

— Do broni! Do broni! Wojsko nieprzyjacielskie wpadło na wyspę!

Nieszczęśliwego gubernatora ogarnęło zwątpienie. Powinien był stanąć na czele obrońców i poprowadzić ich do walki, a on wcale

się nie znał na prowadzeniu wojen i staczaniu bitew.

— Poślijcie po rycerza Don Kiszota!—wołał.—Walka jest jego rzemiosłem!

Ale zgromadzeni odrzekli, że bić się będą z ochotą, byleby przewodniczył im Sanczo, do którego mają zaufanie, i żądali, żeby się uzbroił.

Przyniesli dwie ogromne tarcze, obłożyli go niemi w ten sposób, że jedną miał z przodu, drugą z tyłu, i ścisnęli temi tarczami tak mocno, że Sanczo kroku postąpić nie mógł; do ręki podali mu oszczep. Zamieszanie rosło z każdą chwilą. Tłoczono się i popychano wśród ciemności nocnych.

Sanczo zebrał wszystkie siły, żeby postąpić z miejsca, ale pośród rozruchu upadł i nie był w stanie podnieść się, leżał więc, jak żółw zamknięty w skorupie. Całe gromady ludzi przebiegały po nim i zapewne pogruchotanoby mu wszystkie kości, gdyby nie był osłonięty tarczami. Jeden z tłumu stanął nawet na nim i wydawał rozkazy.

— Zamykajcie bramy! Ugotujecie smołę! Zgromadźcie kamienie ciężkie przy murach! Spychajcie drabiny, po których nieprzyjaciele wdzierają się do miasta!

Nareszcie mieszkańcy Baratarji odnieśli zwycięstwo nad wrogiem, rozległy się okrzyki radości; Sanczę podniesiono i winszowa-

no mu szczęśliwego zakończenia srogiej walki.

Ale on czuł się jakby rozbitym i o żadnym zwycięstwie słuchać nie chciał.

— Dajcie mi się napić wina — jęknął. — A kiedy mu tarcze odwiązano, padł na swoje łóżko zemdlony.

Strwożyli się żartownisie, czy nie za daleko posunęli swoją wesołość i czy giermek życiem tego nie przypłaci. Wkrótce jednakże wróciła mu przytomność. Słabym głosem zapytał o godzinę. Kiedy się dowiedział, że niebawem dzień zaświta, powstał z łóżka, odział się w milezeniu i wolnym krokiem podążył do stajni. Nie obchodziło go wcale, że gromada ludzi szła za nim, ucałował czule swego osielka i lzy puściły mu się z oczu.

— Chodź ze mną, stary przyjacielu!—rzekł do Burego—odkąd się z tobą rozstałem, znosiłem tylko przykrości i trudy. Rzućmy tę wielką wspaniałość, a szczęście do nas powróci.

Osiadł osła, wgramolił się nań z trudem i prosił obecnych, żeby się rozstąpili, bo on chce odzyskać swobodę.

Proszono go, żeby zaniechał tego zamiaru.

— Nie znacie Pansów—odparł—jak który z nich powie «nie!», to już nie—i dosyć.

Tłómaczono mu, że powinien z gubernatorstwa zdać rachunek. Na to odpowiedział.

— Rachunek zdam księciu. Żadnemu z was nic nie jestem winien. Widzieliście, że przez czas urzędowania pracowałem ciężko i umierałem z głodu, a wychodząc od was, biorę z sobą tylko osła, który był i jest moją własnością.

Chciano mu dać przynajmniej nieco zapasów żywności.

— Chleb i ser mam jeszcze z sobą—odpowiedział—a więcej mi nie potrzeba. Co najwyżej przyjmę tylko trochę owsa dla Burego.

Pożegnano go z rozrzewnieniem, bo jednak umiał sobie pozyskać życzliwość mieszkańców dobrocią i sprawiedliwością, a litość obudził nawet w swoich prześladowcach, zbyt rozochoconych do figlów i psot złośliwych.

Powoli i ostrożnie postępował wśród nocy. Zagłębiwszy się w las poblizki, zsiadł z osła i usnął głęboko pod drzewem. Kiedy się ocknął, już się ściemniło. Podjadł trochę i zaczął jechać śpiesznie, żeby się jak najprędzej złączyć z dawnym swoim panem.

Ale po ciemku osiel wpadł w dół, z którego już obaj o własnych siłach wydobyć się nie mogli, tak był głęboki. W tym dole przebył Sanczo noc całą. Zrana usłyszał tentent kopyt końskich, zaczął więc krzyżeć. I dobrze zrobił, bo go usłyszano. Ów koń

był to Rosynant, na którym Don Kiszot odbywał poranną przejażdżkę. Kiedy i osiel Sanczy zaryczał, poznał rycerz swojego giermka, wrócił do pałacu książęcego, sprowadził ludzi z drabiną i ze sznurami. Z mozołem wydobyto Sanczę i osła.

Przybywszy do pałacu, giermek padł księciu do nóg i prosił, żeby go zwolniono z gubernatorstwa. Mówił, że ledwo nie oszalał od kłopotów rządzenia, a byłby pewno z głodu umarł. Opowiadał, jak mu się nie wiodło, bo kiedy nareszcie opuścił wyspę, to wpadł w dół i byłby tam razem ze swym osłem życie skończył, gdyby go rycerz nie ocalił.

Książe uściskał zbiedzonego Sanczę i kazał mu dać wszystkie wygody. Obiecał nawet, że mu da inny, lepszy urząd, ale Sanczo wprost odmówił, choć w bardzo grzecznych słowach.

W końcu Don Kiszotowi naprzykrzyło się bezczynne i zbyt kowne życie na książęcym dworze. Gdy Sanczo siły odzyskał, rycerz podziękował uprzejmie za gościnne przyjęcie i pożegnał dwór książęcy. Giermkowi zaś na odjezdnem podarowano dwieście sztuk złotych pieniędzy.

XXIII.
ZAKOŃCZENIE.

Opuściwszy pałac po obiedzie, rycerz i giermek pół dnia jechali gładką drogą. Ku wieczorowi znaleźli się w lesie i już myśleli o spoczynku, kiedy ich napadła gromada zbójców, która przedewszystkiem złupiła zapasy żywności, w jakie byli hojnie zaopatrzeni. Na szczęście zbójcy nie domyślili się, że Sancho ma przy sobie znaczne pieniądze. Wkrótce też nadjechał i herszt zbójców. Słyszał on niejedno o Don Kiszocie, bo przygody rycerza z Manczy miały już wtedy szeroki rozgłos. Kazał więc zwrócić wszystko, co rycerzowi i giermkowi zabrano i dał Don Kiszotowi listy do swoich przyjaciół w Barcelonie; do tego miasta bowiem rycerz zamierzał jechać. Zarazem pchnął posłańca z wiadomością o rychłym przybyciu Lwiego rycerza.

Kiedy Don Kiszot z Sanchem zbliżyli się do Barcelony, spotkali gromadę, złożoną z kilku jeźdźców, wykrzykujących.

— Witaj, chlubo i wzorze rycerstwa, sławny Don Kiszocie z Manczy!

Byli to ciż sami, których dowódca rozbójników zawiadomił o przyjeździe rycerza.

Jeden z tych jeźdźców zaprosił do swego

domu Don Kiszota i Sanczę i przez kilka dni podejmował ich szczerze. Wszyscy wyśmienicie bawili się napuszoną mową Don Kiszota i dowcipami Sanczy, płatali im różne drobne figle, a kiedy Don Kiszot wychodził na ulicę, przyczepiali mu na plecach kartę z napisem:

«Don Kiszot, błędny rycerz z Manczy.»

Tłumy otaczały go i przyjmowały okrzykami, a rycerz cieszył się, że jest tak sławny.

Jednego dnia, kiedy uzbrojony przejeżdżał się na Rosynancie, mając Sanczę na ośle za towarzysza, najechał innego rycerza na koniu, podobnie uzbrojonego, mającego na tarczy srebrny księżyc.

Nieznajomy, spostrzegłszy naszego bohatera, podjechał do niego i przemówił w te słowa.

— Szanowny Don Kiszocie z Manczy! Ja, rycerz Srebrnego Księżyca, przybyłem umyślnie, żeby z tobą walczyć. Albo wyznaj, że moja ukochana pani jest piękniejsza i szlachetniejsza od twojej Duleynei z Tobozo, albo ze mną stoczyć musisz bój śmiertelny. Jeżeli cię pokonam, to wrócisz do domu i na rok cały zrzekniesz się przygód rycerskich; jeżeli ty zwyciężysz, to zbroja i koń mój staną się twoją zdobyczą. Czy zgadzasz się?

W takim razie nasz los dziś będzie rozstrzygnięty.

Oburzony wyzwaniem, odpowiedział Don Kiszot.

— Wprawdzie nie wiem, kto jesteś, rycerzu Srebrnego Księżyca, i nigdy o tobie nie słyszałem, ale do potyczki jestem gotów stanąć zaraz.

Obaj wybrali miejsce stosowne do walki. Ale że koń rycerza nieznanego był o wiele silniejszy i zwinniejszy, aniżeli zesztwniały Rosynant, więc w pierwszym zaraz natarciu wierzchowiec rycerza z Manczy zwał się z nóg i zrzucił swego jeźdźca na ziemię.

Rycerz Srebrnego Księżyca przytknął ostrze swego oszczepu do gardła przeciwnika i powiedział.

— Musisz śmierć ponieść, jeśli odmówisz spełnienia warunków, któreśmy przed walką zgodnie ułożyli.

— Chociażbym miał zaraz dech wyzionąć — odpowiedział Don Kiszot — ogłaszam, że Dulcynea najpiękniejszą jest kobietą na kuli ziemskiej. Zabij mię, kiedy mi odjąłeś sławę zwycięstwa.

— Nie mam tego zamiaru — rzekł rycerz księżycowy — niech żyje Dulcynea z Tobozo. Ale musisz się poddać drugiemu warunkowi i na rok zrzec się przygód rycerskich.

— Dobrze — odrzekł Don Kiszot — jako wierny rycerz, słowa dotrzymam.

Czytelnik odgadł już zapewne, że napastnikiem był Samson Karasko, ten sam, który niegdyś, jako rycerz Zwierciadłany, doznał klęski w spotkaniu z Don Kiszotem.

Zwyciężony bohater leżał kilka dni w łóżku. Pocieszał się myślą, że tylko zwierzę było powodem upadku, że nie on uległ dzielności przeciwnika, tylko Rosynant mu nie dopisał i że rok spokoju to przecież nie całe życie.

Czując polepszenie, pożegnał swoich nowych znajomych w Barcelonie, podziękował im za gościnność i za współczucie, jakie mu okazowali po nieszczęśliwej walce; następnie obaj z Sanczem dosiedli swoich wierzchowców i powrócili do domu.

Gospodyni i siostrzenica Don Kiszota z radością przyjęły powracającego, pielęgnowały go i cierpliwie słuchały jego opowiadań i projektów na przyszłość, bo błędny rycerz ciągle snuł projekty na przyszłość i wymyślał bohaterskie czyny, jakie obiecywał sobie wykonać.

Ale tak on jak i jego otoczenie niedługo się tem cieszyło, bo wkrótce chwyciła Don Kiszota złośliwa gorączka, która już mu nie pozwoliła wstać z łóżka.

Widząc, że koniec życia jego się zbliża

posłał po proboszcza, wyznał się i umarł jako dobry chrześcijanin.

Przed śmiercią umysł jego odzyskał jasność zupełną. Don Kiszot głośno wyznał, że zbałamuciły go złe książki, że skutkiem tego błędził, gdy zamiast pilnować domu, został błędnym rycerzem i gonił za zwodniczą sławą.

Przyjaciele pożegnali go z płaczem, a wierny Sancho, który przy swojej Jagusi był jeszcze długo i szczęśliwie, chodził codziennie na cmentarz, aby na grobie swego dawnego pana pomodlić się za spokój jego duszy.

KONIEC.



SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Przedmowa	I—IV
I. Don Kiszot z Manczy.	1
II. Don Kiszot wyrusza w świat.	4
III. Pasowanie na rycerza	9
IV. Rycerz pobity	16
V. Don Kiszot znajduje sobie giermka	20
VI. Walka z wiatrakami	26
VII. Przygoda z pasterzami	34
VIII. Zaczarowana gospoda.	37
IX. Dwa wojska. — Rycerz smutnej postaci	42
X. Młyny foluszowe. Czarodziejski szyszak	45
XI. Zbrodniarze	50
XII. Wśród gór i skał	54
XIII. Don Kiszot zabija wielkoluda.	62
XIV. Duleynea z Tobozo.	67
XV. Komedjanci.	71
XVI. Rycerz Zwierciadlany	74
XVII. Straszna przygoda ze lwami.	79
XVIII. Pieczara Montezynos i przygoda z lalkami	84
XIX. Zaczarowana łódka	90
XX. Gość książęcy	94
XXI. Drewniany koń.	102
XXII. Sancho gubernatorem	110
XXIII. Zakończenie	122

Am 7087

40-

4

~~80.~~

NEEDHAM H. B. ROBERTS

Q31N L06L